



FELIETONY

KS. DR LESZEK ŁYSIEN

Spis treści

Bóg i cierpienie.....	2
Bóg i cierpienie – ciąg dalszy	3
Wokół Zmartwychwstania.....	4
Wokół nadziei	6
Wokół nadziei c. d.....	8
Adam Chmielowski – Brat Albert: eksplozja wolności	10
Od poczywam, więc.....	13
Gdy źle pomyślano człowieka.....	15
Praca – wymogiem ludzkiego życia	17
Praca wymogiem życia ludzkiego c. d.	20
Ku czemu idziemy, żyjąc tak, jakby Bóg nie istniał?	23
Nostalgia listopadowa	25
Czekanie adwentowe.....	27
Zabawa, gra, świętowanie.....	29
Trzask pękającego nieba.....	31
I cóż z „kolędy”?.....	33
W Wielki Post wchodząc.....	35
Kobiet pochwała	37
Samotność Chrystusa – samotność człowieka.....	39
Wybłysek miłosierdzia	41
W niebo wstępowanie.....	43
Jubilata zamyślenia mało skromne	45
Wakacyjne podróżowanie	47
Piękno świata – przekleństwo człowieka.....	49

Bóg i cierpienie

Starożytni Grecy ukuli taką sentencję: *mathemata pathemata*. W luźnym tłumaczeniu oznacza ona, iż tylko to może sobie człowiek przyswoić, nauczyć się, dogłębnie poznać, co do samego rdzenia przeorało jego jestestwo, co naznaczyło bólem i cierpieniem całe jego istnienie. Jednym słowem istnieje związek między wiedzą a cierpieniem. Wydaje się, iż jest to prawda dość banalna, jako że zdobywanie wiedzy wiąże się z wysiłkiem ogromnym, czasami nie do zliczenia nocami nieprzespanymi, nadszarpniętym zdrowiem, samotnością. Weźmy choćby geniuszy muzyki czy malarstwa, bądź literatury, którzy latami zmagali się z oporną materią farby, dźwięków czy słów, aby wyrazić niebiańskie duchowe wizje, które wprawiają w zachwyt, porywają, inspirują. A ileż cierpienia kosztowały, ile bólu. A czyż każdy wynalazek nie jest okupiony bezmiarem wysiłku i natężenia wszystkich sił? Można mówić o wszechobecności cierpienia. Czyż Prometeusz nie został srodze ukarany za to, że przyniósł człowiekowi dobrodziejstwo bezcenne – ogień? Przykuty do skały Kaukazu, poddany wszelkim możliwym torturom urąga jednak bogom, w tragedii Eurypidesa rzucając im w twarz wyznanie nienawiści – wszystkich nienawidzę bogów.

Są jednak cierpienia i cierpienia. Są cierpienia błogosławione, jak te wyżej wspomniane, bo przynoszą wspaniałe owoce, bo odsłaniają przed człowiekiem nowe przestrzenie. Ale są i przeklęte, niszczące. Cierpienia, jakie zadają sobie ludzie, wywołując wojny, dokonując zaplanowanego w szczegółach ludobójstwa, cierpienia obozów koncentracyjnych, obozów pracy, lagrów i łagrów, których świadkiem był wiek XX nade wszystko. Są cierpienia chorych na raka, małych dzieci poddanych torturze wszelkiej choroby. Jakież język opisze okrucieństwo tych bólów, bezmiar przecierpianego czasu?

Wszak nazywamy Boga Ojcem naszym, miłosiernym opiekunem, dobrotliwą Opatrznością. Jak zatem pogodzić ogrom cierpienia, które dotyka Jego dzieci z ową pełną miłosierdzia postawą Boga? Czyż przed cierpieniami absurdalnymi, zbytecznymi nie mógłby stworzeń swoich obronić? Albo zatem jest dobry, ale wobec zła niszczącego bezsilny, zatem Bogiem nie jest. Albo jest w stanie ze złem się rozprawić, ale nie chce z niewiadomych nam powodów, ale wtedy nie jest Bogiem a demonem okrutnym raczej. Oto dylemat, który od najdawniejszych czasów zajmował ludzki umysł, nie pozwalając myśleniu spocząć.

Zazwyczaj reakcją skrajną na istnienie i doświadczenie bezbrzeżnego zła jest negacja Boga. Stendhal, francuski pisarz powiadał: „Jedynym usprawiedliwieniem Boga jest to, że nie istnieje”. Czy nie jest to jednak zbyt łatwe rozwiązanie całego dramatu? Elie Wiesel, pisarz żydowski, w jednym ze swoich oświęcimskich opowiadań (przeżył obóz koncentracyjny Auschwitz jako dziecko) opisuje, jak to naziści za ucieczkę więźnia z obozu powiesili trzech żydów: dwóch dorosłych i jedno dziecko. Dorośli skonali szybko, ale dziecko, jako że było lekkie, podrygiwało długo na szubienicy, nie mogąc umrzeć. Jeden ze świadków tej egzekucji zadaje drugiemu pytanie: „i gdzie jest teraz Bóg?” Zapytany odpowiada: „wisi tam na szubienicy”.

W czasie Wielkiego Postu będziemy wpatrywać się w wiszącego na szubienicy starożytności (Krzyżu) Boga – człowieka Jezusa Chrystusa. Oto odpowiedź Boga na pandemonium ludzkiego zła.

Bóg i cierpienie – ciąg dalszy

Kiedy wpatrujemy się w wyniszczonego doszczętnie, wiszącego na krzyżu Chrystusa, gdzieś kołocze się pytanie: czy licuje z godnością, wzniosłością, majestatem Boga taki obraz ruiny, ogołocenia, bezsilności i klęski? Zaiste pytanie to jest dorzeczne. Jak nas poucza O. Lagrange, wybitny biblista, „pierwsi chrześcijanie wzdrgali się przed przedstawianiem Chrystusa na krzyżu, widywali bowiem na własne oczy te nieszczęsne, zupełnie nagie ciała, zawieszane na pospolitym palu, przeciętym u góry w kształcie litery T poprzeczną belką, widzieli ręce przybite gwoździami do tej szubienicy, widzieli nogi również przygwożdżone, ciało opadające pod własnym ciężarem, zwieszoną głowę, psy znęcone wonią krwi, pożerające stopy ukrzyżowanego, sępy krążące nad miejscem rzezi i skazańca wyczerpanego męką, palonego pragnieniem, wzywającego śmierci bełkotliwym wołaniem. Była to kaźń niewolników i zbrodniarzy”.

Starożytni Grecy wypracowali koncepcję bóstwa, które w swej wzniosłości jest tak oddalone od człowieka, że wręcz niedosiężne. Bóstwo to niezdolne jest ani do miłości ani do jakiegokolwiek aktu, zwróconego ku człowiekowi. Jedyną godną takiej boskości czynnością jest kontemplacja siebie samego, nieruchome, majestatyczne trwanie w boskiej doskonałości.

W szalonej z punktu widzenia zdrowego rozsądku nowinie ewangelicznej, „wybłyska” wieść, iż Bóg w osobie Jezusa Chrystusa zstąpił w otchłanie obcego Mu zła i ogromu cierpienia, by stać blisko, najbliższej istoty, którą ukochał. Jest to Bóg szalony, Bóg ogromnego dynamizmu i nie do wyśledzenia zamierzeń. Istota nieprzewidywalna i dlatego niosąca w sobie ogrom niezgłębionej tajemnicy. O takim Bogu pisze T. Halik, czeski duchowny i myśliciel: „Bóg Biblii nie jest chłodnym reżyserem naszych losów, ukrytym gdzieś za kulisami dziejów – sam wkroczył w dzieje naszej nędzy, sam wypił do dna kielich naszych boleści i wie bardzo dobrze, jaki jest ciężar naszych krzyży! (...) Chrześcijaństwo nie zwiastuje nam przecież Boga, który zapewnia nam życie pozbawione cierpienia i daje natychmiast zadowalające odpowiedzi na wszystkie bolesne pytania, jakie wskutek cierpienia rodzą się w naszych sercach, nie obiecuje nam dni, po których nie następowatyby noce. Zapewnia nas tylko o tym, że w czasie owych najgłębszych nocy jest z nami” (*Cierpliwość wobec Boga*).

Owo bycie Boga w pieklach cierpienia bardzo często stworzonych przez człowieka, w otchłaniach niszczącego zła, jest znakiem Jego dogłębnej wrażliwości. To ona skłoniła Go do pełnego niepokoju pytania postawionego u zarania dziejów ludzkich: „Gdzie jesteś Adamie?”, kiedy człowiek zniknął mu z oczu, uwikłany w płataninę zła. Mamy tutaj do czynienia z autentycznym zdziwieniem i zaskoczeniem Stwórcy. Zło stanowi dla Boga coś zaskakującego i niezaplanowanego. Zło przychodzi z jakiegoś mrocznego „zewnątrz”. Nie pochodzi ani od Boga ani od człowieka. Wchodzi w świat poprzez człowieka. Człowiek uległ pokusie, dał się uwieść sile jej iluzji. Iluzja ma charakter destrukcyjny, rodzi chaos. Dlatego człowiek w spotkaniu ze złem staje się sobie obcy, przestaje siebie rozumieć. Naznaczony złem tuła się po ziemi, która staje się krainą wygnania. Nie wie, skąd przychodzi i dokąd zmierza. Wówczas rozlega się z otchłani Bożej troski i niepokoju pytanie: „gdzie jesteś człowieku?”. Pytanie to świadectwem jest bliskości Dobra, które ocala, które szuka porażonych złem i cierpieniem.

Wokół Zmartwychwstania

Wolno nam poczynić przypuszczenie takie, że życie ludzkie wyczerpuje się w tym świecie, że cała przygoda istnienia człowieka kończy się wraz z momentem śmierci. Nic więcej nie stanie się już udziałem człowieka, wszelkie jego pragnienia, zamierzenia, plany, projekty zostaną nagle zerwane, jak pajęcza sieć, pozostawiając pustkę niespełnienia. Dalszego, pośmiertnego trwania nie ma. Jeśli myślimy, że jest, pozostajemy w szponach iluzji, złudzeń, próbujemy okrucieństwo przemijania i bezwzględne unicestwienie złagodzić fikcją Arkadii, Elizjum, wiecznej szczęśliwości. A jednak...

Dosięga nas oto wieść nieprawdopodobna o Zmartwychwstaniu, o rozerwaniu szczelnie nas oplatającej sieci przemijania, rozpadu, śmierci. Jestże to jednie baśń uroczą, marzenie bez pokrycia? Píše W. Sołowjow, rosyjski myśliciel: „Prawda o zmartwychwstaniu Chrystusa nie jest jedynie prawdą wiary, lecz także prawdą rozumu. Gdyby Chrystus nie zmartwychwstał, wówczas racja byłaby po stronie Kajfasza, a Herod i Piłat okazaliby się mędrkami, świat zaś byłby bezsens, królestwem zła, kłamstwa i śmierci. Nie chodziło o kres jakiego bądź życia, lecz o to, czy zakończy się życie doskonale sprawiedliwego. Skoro takie życie nie mogło odnieść zwycięstwa nad wrogiem, to jakaż wówczas pozostawałaby nadzieja na przyszłość? Jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, to kto mógłby zmartwychwstać? Ale On zmartwychwstał”.

Warto zadumać się nad konsekwencjami pokusy życia bez Zmartwychwstania, życia, któremu kres śmierć biologiczna kładzie. Co wówczas uczynić z ogromem oceanu cierpienia, jakie stawało się udziałem człowieka w owej ziemskiej dolinie łez, co z ofiarami krwawych, obłądanych tyranów w rodzaju Hitlerów, Stalinów, Pol – Potów? Byłyżby to jedynie zakłócenia w dziejach gatunku wyrafinowanego zwierzęcia, jakim wydaje się być człowiek? Co z nadziejami, miłościami, wiarą, które tak głęboko wpisane są w sam rdzeń istoty ludzkiej? Miałyżby być omamem? Czy wówczas nie byłibyśmy zmuszeni życia nazwać absurdem, chichotem szjderczym mocy piekielnych, kpiną kosmiczną, albo choćby posiłkując się Szekspirem z Makbeta:

Życie jest tylko przechodnim półcieniem,
Nędznym aktorem, który swoją rolę
Przez parę godzin wygrawszy na scenie
W nicość przepada – powieścią idioty,
Głupią, wrzaskliwą i nic nie znaczącą”.

Musielibyśmy zgodzić się na przenikający wszystko bezsens, na to, że światem ludzkiego życia rządzi bezwzględna siła, przemoc, skuteczność działań. Że istnieje tylko ślepa gra dorażnych interesów, że protest Hioba jest tylko naiwnym gaworzeniem rozkapryszonego dziecka, że ten, kto nie wyzyska dla siebie każdej nadarzającej się okazji, aby zapewnić sobie maksimum przyjemności i korzyści, jest bądź zwyczajnym idiotą bądź marzycielem niepoprawnym. Wówczas Bóg, Miłość, Dobroć są tylko pustymi dźwiękami, jakie dobywają się z naszego gardła, jak wiele innych dźwięków. Zatem nie ma Boga, nie ma Zmartwychwstania? Azaliż istnieje tylko sama pustka wszechświata, wypełniona bezładną gadaniną ludzkiej trzody i jej ślepyimi (jakże często okrutnymi) postępkami? Sam kiedyś pisałem: „Pytając o ludzkie piekła oraz obecność w nich Boga nie możemy odpowiadać negacją Boga. Negacja ta obniża poziom pytania – odbierając Hiobowi całą jego godność. Wówczas jego protest staje się zwyczajną biologiczną

reakcją na ból, nadzieja - dziecinną iluzją. Wówczas wszyscy upokorzeni, znieważeni i podeptani są tylko mierzwą historii, z której wyrastają silni i bezwzględni. Wówczas wreszcie i Auschwitz i Kołyma są czymś tak oczywistym, że nie tylko niewartym uwagi, ale i zapowiadają kolejne tego typu potworności, do których musi dojść na mocy naturalnych determinizmów wpisanych w gatunek ludzki pożerający się i pożerany”. Przeto Chrystus nie mógł nie zmartwychwstać!

KAIROS, 3/2017

Wokół nadziei

Truizmem jest stwierdzenie, że życie ludzkie cierpieniami wszelakimi jest wypełnione, że lęki i niepokoje targają nim, że choroba, ból nieoczekiwanie dopadają człowieka, rozbijając z trudem wzniesiony świat. A gdy dodamy do tego grozę śmierci, która nieustannie zewsząd oplata istnienie ludzkie, wówczas stwierdzić należy, że opresją jest nieznośną czas życia człowieka. Wszechobecność śmierci znakomicie oddaje pisarz J. Andrzejewski w powieści *Ład serca*: „Od chwili narodzin żyjemy zawsze ze swoją śmiercią. Z każdą minutą śmierć dojrzewa w nas, rozrasta się i umacnia. W każdą radość, w każde uniesienie wplątany jest ten posępny cień. Żyjemy powoli umierając. Może się nam wydawać, że jesteśmy po brzegi wypełnieni życiem, a tymczasem jest w nas sama tylko śmierć”.

Wiele wysiłku kosztuje człowieka próba wzniesienia się ponad opresje przeróżne życia, choć bywają sytuacje, które wręcz wzlot taki uniemożliwiają, całkowicie pogrążając człowieka w rozpacz, umacniając go w przekonaniu, że ratunku, ocalenia, Boga nie ma. Pisał w ostatnim liście z oblężonego Stalingradu syn do ojca pastora: „W Stalingradzie pytać o Boga to zanegować Go...Jesteś ojciec duszpasterzem, a w ostatnim liście pisze się tylko prawdę, bądź to, o czym się sądzi, że mogłoby być prawdą. Szukałem Boga w każdym leju, w każdym zniszczonym domu, w każdym zakamarku, u wszystkich kolegów, na ziemi, leżąc w okopach i na niebie. Bóg nie pokazał się, gdy me serce wzywało Go rozpaczliwie. Domy były zburzone, moi współtowarzysze równie odważni, bądź równie tchórzliwi jak ja, na ziemi głód i zabijanie, z nieba szły bomby i ogień, tylko Boga nie było. Nie ojciec, nie ma Boga. A jeśli nawet jest, to tylko u Was, na kartach kościelnych śpiewników i w modlitwach, w pobożnych frazach kapłanów i pastorów, w dźwięku dzwonów i woni kadzidła, ale nie tu, nie w Stalingradzie”. Oto opis szczególnego doświadczenia. Jest tu bezbrzeżna rozpacz, poczucie osamotnienia i opuszczenia całkowitego. Jest tylko klęska i poczucie zawodu. Byłoby z takiego ekstremalnego bólu jakieś wyjście?

Nazwiemy siłę, która wyrывa człowieka z kręgu bezgranicznej rozpacz nadzieją. Doznanie nadziei jest doświadczeniem szczególnym. Otwiera się zamknięte koło czasu, odstania się obecność ocalającej Mocy, która zdawała się być nieobecna. Wielki myśliciel szwajcarski Hans Urs von Balthasar zwracał uwagę na zaniedbaną, przeoczoną prawdę nadziei, zawartą w *Składowie Apostolskim*. Wyznajemy tam o Chrystusie, iż „zstąpił do piekieł”. Niezwykłe zdanie, które mówi o tym, że Bóg – Człowiek doświadczył *szeolu*. A w rozumieniu Starego Testamentu *szeol* jest królestwem zmarłych, oznacza sferę całkowitej pustki, samotności i opuszczenia przez Boga. Oznacza zatem całkowite zerwanie komunikacji człowieka z Bogiem, mało tego, oznacza ruinę wszelkich relacji, mrok i wegetację widmową, upiorną. Oznacza zatem piekło. Do tego miejsca opuszczenia, „królestwa śmierci” zstępuje Chrystus jako wyzwalająca moc. On sam doświadczył piekła opuszczenia przez Boga, o czym świadczy przejmująca eksklamacja z krzyża: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścić?”. Doświadczył zatem wszystkiego, co oddaleniem i nieobecnością jest Boga, porażki, całkowitej samotności i pustki życia. Ale ponieważ zaryzykował ową infernalną podróż, swoją obecnością wniósł w piekło „ruch”. Pogrążeni w bezdusznej otchłani piekielnej poczuli bliskość ocalenia. Ci, którzy odwrócili się do Boga plecami, rzucili się we własne piekło, również tam znaleźli Boga. Tak oto wybrzmiewa przesłanie

uniwersalnej nadziei. Wolno mi zatem mieć nadzieję, wolno mi oczekiwać, że nikt nie ugrzęźnie w swoim własnym piekle, że pogubieni i potraceni powrócą do miejsca światłości i zwycięstwa. Mistyczka Adrienne von Speyr mówiła: „Oto Syn tak ustawił się przed człowiekiem, że człowiek również wtedy, gdy obróci się do Boga plecami, widzi Go przed sobą i musi się do Niego zbliżyć. Bóg – Człowiek jest wszędzie tam, [...] dokąd prowadzi ludzka droga; [...] tak bardzo, że również ci, którzy sądzą, że odwrócili się bez względu na wszystko i odeszli ostatecznie, z pewnością spotkają Go na swojej drodze, ponieważ wybrał On na swą lokalizację miejsca nieoczekiwane, zaprzeczone, odległe”. W jakiegokolwiek opresji życia byś się znalazł, spotkasz tam wyzwalającą Moc. Oto trudne przesłanie nadziei chrześcijańskiej.

KAIROS, 4/2017

Wokół nadziei c. d.

Pytamy w dalszym ciągu o nadzieję. Czym ona jest, jakim doświadczeniem otwiera drogę, dokąd nas porywa, na czym skupia naszą uwagę? Te i tym podobne pytania koncentrują na sobie nasz namysł. Wiemy jedno: ludzie nieustannie porywani byli wichrami nadziei. Różne to były wichry. Jedne niszczące, niosące zamęt, inne pozostawiały po sobie gorzki smak zawodu, niespełnienia, jeszcze inne wtrącały w iluzję, za którą trzeba było drogo zapłacić. Nie zawsze nadzieja przynosiła owoce dobre. Na ludzkiej nadziei (która jest potężnym żywiołem ogarniającym człowieka) mogą różne siły żerować. Żerowały diaboliczne moce ustrojów totalitarnych, obiecując człowiekowi stworzenie komunistycznego raju na ziemi bądź tysiącletniej Rzeszy Niemieckiej. Nadzieje ludzkie eksploatuje współcześnie rozbuchana potęga technologiczna i informatyczna, która obiecuje stworzyć konsumpcyjny raj na ziemi, arkadię powszechnego szczęścia i dobrobytu bez granic. Człowiek za sprawą wszechobecnej reklamy i potęgowanych obietnic oddaje się blichrowi świecidełek i gadżetowemu rozpasaniu. L. Kołakowski przenikliwie rzecz przedstawia: „Nieposkromiona żarłoczność jest fatalną skazą naszej cywilizacji. Konsumpcjonizm prawdopodobnie przeszkadza pojawieniu się w naszym umyśle rzeczy, których nie można pożreć. A mimo to te rzeczy wracają w tej czy innej formie – wiary albo ciekawości metafizycznej. Te impulsy wciąż nie są zniszczone, tkwią w naszej naturze od początku świata. Wszystko, co pobudza wiarę religijną, jest przeciwne konsumpcyjnej żarłoczności. Ale pytanie, czy wygra instynkt metafizyczny, czy żądza konsumpcji, jest nierozstrzygalne”. Nie wiemy, czy pokłady nadziei złożone w człowieku wyczerpią się na rzecz żarłocznej stabilizacji konsumpcyjnej (wyrażonej przeświadczeniem, że wystarczy mi „tu i teraz”, nie obchodzi mnie żadne „tam”, satysfakcjonuje mnie całkowicie raj technologiczny, a innego raju nie ma), czy też nadzieja pozwoli wymknąć się pokusie kolejnego ziemskiego Edenu.

Nadzieja, która doznała porażki, stacza się w rozpacz. Żadna siła nie jest w stanie ocalić człowieka, wszystko na nic, już żadne zwycięstwo nie stanie się udziałem istoty ludzkiej. Wszystko utonie w pustym chichocie szatana. Pisał M. Gabriel, francuski myśliciel: „(...) rozpacz to w pewnym sensie świadomość zamkniętego czasu lub, ściślej mówiąc, uświadomienie sobie czasu jako więzienia, podczas gdy nadzieja zdaje się przenikać poprzez czas; wszystko dzieje się wówczas tak, jak gdyby czas, zamiast zamykać się wokół świadomości, pozwalał czemuś przez siebie przenikać”. Myśliciel zwraca uwagę na istotny rys nadziei: ona pozwala poprzez zasłonę czasu przebić się czemuś (Komuś) spoza czasu, niejako rozrywając łańcuchy, krusząc mury, które z takim pietyzmem wznosił wokół siebie człowiek. Nadzieja jawi się zatem jako siła wyzwalamąca, porywająca dalej, nie pozwalająca zastygnąć w niszczącej „małej stabilizacji”. Skarży się Bogu K. I. Gałczyński w *Notatkach z nieudanych rekolekcji paryskich*: „Nie mogę. Zrozum. Jestem mały / urzędnik w wielkim biurze świata, / a Ty byś chciał, żebym ja latał / i wiarą mą przenosił skały”. Nadzieja porywa właśnie do lotu. To siła nadziei chrześcijańskiej obnaża kruchość tego świata, pozwala wyzwolić się z obsesji świata, spraw ludzkich, arcyłudzkich. Nadzieje krążące wokół tego świata, to nadzieje małe, a nawet można zaryzykować stwierdzenie, że to „patologia nadziei”. Nie można bez reszty zaprzętać człowieka sprawami tej li tylko ziemi. Znowu Gałczyński poetycko odślaniający obsesje świata: „Posadę przecież

mam w tej firmie / kłamstwa, żelaza i papieru. / Kiedy ją stracę, kto mnie przyjmie? / Kto mi da jeść? Serafin? Cherub?”

Nadzieja wreszcie wiąże się ściśle z oczekiwaniem. R. M. Rilke w jednym ze swoich utworów pisał: „A ty czekasz, ty czekasz na jedno, / co twe życie wzniesie nieskończenie, / na wielkie, niezwykle zdarzenie, / na kamieni nagłe przebudzenie (...)”. Jest mądry niepokój wpisany w oczekiwanie. On nie pozwala przywiązać się do niczego, co mogłoby je przekreślić. Oczekiwanie to czuwanie, to przytomność temu, co oczekiwane. Ono dyktuje rytm upływającemu czasowi. Mówił Tischner w jednym ze swoich kazań: „Nadzieja jest odpowiedzią na czyjeś oczekiwanie. Człowiek wtedy może powiedzieć, że naprawdę ma nadzieję, gdy wie, że gdzieś ktoś na niego czeka. Kiedy człowiek uświadomi sobie, że go już nikt nigdzie nie oczekuje, wtedy traci nadzieję. Bo ludzka nadzieja rodzi się dopiero z czyjegoś serdecznego oczekiwania. (...) Dopiero oczekiwanie rodzi w nas nadzieję. Aby powstała wielka nadzieja, musi być wielkie oczekiwanie – wielkie jak tęsknota”. Pozwólmy się porywać wielkiej nadziei.

KAIROS, 5/2017

Adam Chmielowski – Brat Albert: eksplozja wolności

Pisał o religii B. Prus: „Religię zatem trzeba pielęgnować jak największy skarb, najsilniejszy motor cywilizacji; ale religię prawdziwą, nie martwych tekstów, tylko żywych uczuć i czynów użytecznych, a zarazem podniosłych. Religia prawdziwa daje moc woli, pogodę sercu, skrzydła rozumowi. Zamiast inkwizycji stawia tolerancję, zamiast pogroźek – miłosierdzie, zamiast przekleństw – błogosławieństwa. Ona nie prześladuje innowierców, gdyż rozumie, że różne wyznania są tylko rozmaitymi gościńcami, które prowadzą do jednego Boga. Ona nie polemizuje z nauką, gdyż nie wątpi, że nauka istotnie wcześniej czy później potwierdzi najważniejsze prawdy religii”.

Malarzem był Adam Chmielowski z zamiłowania i pasji, nade wszystko talentu, zaś jako malarz skłaniał się w kierunku impresjonizmu ze swoją fenomenalną wrażliwością na kolory i kontrasty, czym wprawiał w podziw nawet samego Maksa Gierymskiego. Nie od rzeczy będzie przytoczyć opinię poety francuskiego P. Claudela: „kolor jest wnętrzem światła, ukazuje się, gdy je złamać. To, co jest widzialne i wyczuwalne bez obrazu”. Ku światłu zatem garnął się Adam łowiąc okiem kolory świata. Zaznajomiony był z całym ówczesnym polskim światem malarzkim: Stanisław Witkiewicz, Józef Chełmoński, Antoni Piotrkowski, Maksymilian Gierymski, Leon Wyczółkowski. Także z przedstawicielami innych dziedzin sztuki w serdecznej i głębokiej pozostawał zażyłości, jak choćby z wybitną aktorką Heleną Modrzejewską. Znaczący od psychologii zaklasyfikowali go jako introwersyjnego schizotypika. Czyż jednak klasyfikacje (choćby najbardziej precyzyjne) są w mocy ogarnąć ową naturę bezbrzeżną, szarpiącą się i wyrwijającą nie wiadomo dokąd, która dała o sobie znać w artyście Adamie? Piękno z pasją umiłował i tęsknił doń wszystkimi fibrami swojej duszy, chciał go w całej stworzonej rzeczywistości poszukiwać. Do szukania owego zaprzęcał zamierzał sztukę, choć przeświadczony był, że piękno odślania się nie tylko za sprawą artysty, ale na swój sposób poprzez aktywność każdego człowieka. Piękno zatem z całą pewnością nie w zawężonym estetycznym wymiarze pojmował, ale szerzej. Zdaje się, że najbliższym tego pojmowania będzie wypowiedź francuskiej mistyczki S. Weil: „Ile razy rozmyślamy nad pięknem, stajemy jak gdyby przed murem. Wszystko, co na ten temat napisano, to w oczywisty i żalony sposób – za mało, bo wszelkie rozważania należy tu rozpoczynać wychodząc od Boga”. Niespokojna, żywiołowa natura Chmielowskiego raz po raz rwała się zatem ku ostatecznej rzeczywistości piękna, ku Pięknemu Samemu. Ale jak je pochwycić, skoro nieuchwytnie, jak je dojrzeć, skoro uchyla się wszelkiemu widzeniu? A może naturę przekroczyć trzeba? Miał sporo racji M. Gierymski, kiedy o Adamie notował: „Nieszczęściem było (Chmielowskiego), że chciał łączyć w jedno teorię z praktyką, życie naginać do potrzeb poetycznych, że żądał od siebie więcej, niż natura dała człowiekowi, niż mu dać mogła”. Rzeczywiście połączy później to, co zdaje się w perspektywie ziemskiej nie do połączenia.

Ale tymczasem sztukę umiłował, a zarazem się nią męczył, szukał w niej wolności, a raz za razem natykał się na ograniczenia, jakie ona na artystę nakłada. Jakoż w listach do Lucjana Siemieńskiego pisał, iż nie technika, rysunek i kolor sprawą są zasadniczą w malarstwie, ale nade wszystko poezja i marzenie. Na sztukę wędziła nakłada maniera, trendy, opinie, moda, kanony, style. Znowu z listu do Siemieńskiego: „W ogóle jest to psie rzemiosło, to malowanie i cała służba u sztuki. Przez cały dzień męczyć się trzeba nad obrazem, a wieczór ani jednej

godziny wesołej ani innej myśli, tylko ciągle kolory i linie. Ja od czasu, jak maluję, tom zajęty albo zmartwiony”. Im głębiej w otchłanie duszy zstępuje, w mistyków się zagłębiając (Tomasz a Kempis, Jan od Krzyża, Henryk Suza), tym większe wątpliwości się budzą: „Czy sztuce służąc, Bogu też służyć można? Chrystus mówi, że dwóm panom służyć nie można. Choć sztuka - nie mamona, ale też nie bóg; bożyszcze prędeż. Ja myślę, że służyć sztuce, to zawsze wyjdzie na bałwochwalstwo, chyba jak Fra Angelico sztukę i talent i myśli Bogu ku chwale poświęcić i święte rzeczy malować; ale by trzeba na to, jak tamten, siebie oczyścić i uświęcić i do klasztoru wstąpić, bo na świecie to bardzo trudno o natchnienie do takich szczytnych tematów”. Jak odgadł Gierymski, trzeszczy natura pod ciężarem pragnień, zamierzeń, które idą dalej, niepomniernie dalej, niż ona jest w stanie ogarnąć i sobą udźwignąć. W liście do Modrzejewskiej demaskuje Adam sztukę, którą na wyżyny boskości wynoszono, strojono w szaty najwyższego bóstwa, jako przyrodzoną właściwość duszy ludzkiej, jako naturalny sposób komunikacji i porozumiewania się ludzi między sobą. Kiedy jednak do rangi absolutu wyniesiemy owo *humanum*, wówczas widmem się stanie, co Boga przesłoni, a w rzeczywistości odsłania się jako egoizm zamaskowany, co czci boskiej domaga się dla swojego rozdętego ja, a co jest najgłębszym i najpodlejszym gatunkiem bałwochwalstwa. Malarz – Adam przekształca się w Adama – myśliciela religijnego. Nie pozwólmy się jednak zwieść pozorom.

Wolno nam przypuszczać, że w biografii duchowej Adama Chmielowskiego niebagatelną rolę odgrywała logika serca. Znany szeroko, namalowany przez niego obraz *Ecce homo*, jest wizją Chrystusa o ubiczowanym sercu: zranienie sięgnęło tego, co najgłębsze. Nie można było głębiej ugodzić Boga - Człowieka. Ale też głębia zranienia mówi o głębi solidarności Boga z człowiekiem. Serce w perspektywie biblijno – chrześcijańskiej jest symbolem władzy poznawczej, która sięga w najgłębsze warstwy rzeczywistości, widzi to, co niewidzialne dla innych władz poznawczych. Taką rolę zdaje się pełnić również wyobraźnia, jeśli bierzemy ją w jej źródowości: jest rozumniejsza od rozumu i mądrzejsza od mądrości.

Nie od rzeczy będzie przypomnienie, iż Jan Paweł II podczas jednej z ostatnich pielgrzymek do Polski wezwał do budzenia, kształtowania wyobraźni miłosierdzia. Wyobraźnia to władza, która zderza człowieka z rzeczywistością, która zdiera zasłony, kunsztownie tkane, przesłaniające rzeczywistość i zamykające człowieka w kręgu własnych rojeń. Różnymi strategiami posiłkuje się istota ludzka, by przed rzeczywistym światem umknąć. Rozum odgrywa tutaj rolę niebagatelną. Pozostawiony sam sobie, odcięty od wyobraźni konstruuje sztuczne światy. Konstrukcja świata dokonana przez rozum zamknięty bywa często okrutnie nierozumna. „Rozumnym” przecież projektem rzeczywistości była wizja idealnego, bezklasowego społeczeństwa, realizowanego konsekwentnie przez totalitaryzm sowiecki. Także „rozumnym” projektem świata było społeczeństwo rasowo czyste, urzeczywistniane bezwzględnie przez nazistów. A czyż nie są „rozumne” projekty eugeniczne, których zadaniem jest udoskonalenie gatunku ludzkiego poprzez eliminację jednostek ułomnych? Dla rozumu nędza ludzka (gdzie jej nie było, gdzie jej nie ma?) jest tylko zagadnieniem socjalnym, kwestią strategii politycznej, ekonomicznej etc.

Wyobraźnia, którą przywołuje Jan Paweł II, jest władzą obrazowania, plastycznego wczucia się w bezgraniczną barwność rzeczywistości. A przecie człowiek, jak Słowo Objawione nas

poucza, obrazem jest Boga niezgłębionego, bezbrzeżnego. Czyż nie w mocy wyobraźni pochwycić ów obraz, sięgnąć tam, gdzie obraz ów wydaje się najbardziej skryty (a wszak obecny) pod warstwą brzydoty i odpychającej nędzy? Nie o zwykłą wyobraźnię jednakże tutaj chodzi, a o dopełnioną i przenikniętą miłosierdziem. W mocy takiej wyobraźni znalazł się Brat Albert. Zostaje pochwycony przez religię wyobraźnią miłosierdzia pisaną. Zrazu na płótnie obraz Boży widział i tam go kontemplował, wpatrując się weń oczyma duszy. Potem obraz Boży w człowieku zobaczył, ale nie w tym, w którym zdaje się on być niejako na wierzchu, eleganckim i ubranym nienagannie. Rzecz w tym, że wyobraźnia porwała go w głąb nędzy, by tam odstąpić przed nim skarby nieprzebrane. Jak niegdyś *Poverello* Franciszek poszedł na służbę Pani Biedy, która wyzwoliła go z mieszczańskiej pajęczyny posiadania, obdarzając bezbrzeżną wolnością, teraz polska wersja świętego Franciszka pozwoliła się porwać twórczej wolności. A jako że wyobraźnia pożeniona została z miłosierdziem, do czynu, działania, pracy zaprzął się Brat Albert. Odwoływał się wielokrotnie do zdania św. Franciszka: *tantum scit homo, quantum operatur* – tyle wie człowiek, ile zdołał, to tylko poznałeś, coś przepracowałeś. I nie idzie tu o zwykłą pragmatykę, aktywizm, ale twórcze dopełnienie tego, co w oglądaniu Pięknego Samego stało się udziałem człowieka. Piękno ukryte porywa, wiedzie na szlak przygody, człowiek musi być lekki, dyspozycyjny, wolny. Trzeba się zatem ogołocić z wszystkiego, pozwolić się unieść wicherowi wolności: ani miejsca, ani domu, ani żadnej rzeczy – jak refren powraca wymóg Brata Alberta. Ogołocenie sięga głębiej: żadnych kompromisów z władzą jakąkolwiek – ona oplata pajęczą siecią uzależnień. Zmuszano go do napisania reguły zgromadzenia, bronił się rękami i nogami. Widział jasno, że struktury rozmyją wolność. Im bardziej wycofywał się ze świata, tym potężniej ogarniała go wolność i tym bardziej zmieniał oblicze świata, tym bardziej go twórczo przetwarzał. Mistrz Eckhart (w jakiejś mierze bliski Bratu Albertowi) powiadał *nichts haben, nichts wissen, nichts sein* (nic nie mieć, nic nie wiedzieć, być niczym). Kiedy człowiek opróżni się z posiadania wszelkiego (również poglądów, mniemań, opinii, ale także sieci instynktów) staje się już tylko twórczym czynem. Takim pozostał Brat Albert.

KAIROS, 6/2017

KAIROS, 7/2017

Od poczywam, więc...

Trwającą czas wakacji skłania do namysłu nad rzeczywistością odpoczynku. Łacińskie przysłowie powiada: *otium post negotium*. Sentencję można na język polski przełożyć mniej więcej tak: po pracy (zajęciach) przychodzi czas wypoczynku (wytchnienia). *Otium* i *negotium*. Czyn i odpocznienie. Nawet prosta konstatacja językowa dostrzeże, iż słowa te mają ze sobą coś wspólnego. *Negotium* czyli czyn, praca, zajęcie, działanie jawi się w świetle słowa jako negacja (*nego*) wypoczynku, czyli czasu pozbawionego zajęcia, działania. A czyż polski wyraz **niedziela** nie oznacza tego, iż w dniu tym nie godzi się działać (nie dzielać), pozwolić odpocząć sobie i światu, dać czas wytchnienia, głębokiego oddechu, wpatrzenia się w głębie ludzkich przeznaczeń. Ważne jest, aby tych dwu rzeczywistości nie mieszać. Wypoczynek to „nie” powiedziane pracy, zaś praca to „nie” skierowane pod adresem wypoczynku. Można już tutaj postawić pytanie, czy odpoczynek to tylko odzyskanie utraconych fizycznych sił, aby z tym większym zapamiętaniem (zacięciem) do pracy wrócić, czy może coś więcej (i o ile więcej)?

Podobnymi do języka łacińskiego ścieżkami prowadzi nas język polski. Jest czyn, jakieś poczynanie, czynienie i jest wy – poczynek, od – poczynek, odcięcie się od czynu, zaprzestanie działania. Wypoczynek, odpoczynek – to czas pozbawiony czynu, poczynania wszelakich. Jest w języku mądrość swoista, której winniśmy być posłusznymi. Jeżeli czyn jest swoistą pracą nad światem, jego przekształcaniem, zmaganiem się z twórczym, poddawaniem się rytmowi własnej aktywności, fascynacją potęgą swojego działania, to od – poczynek ma być z tego wszystkiego rezygnacją. Jeżeli czyn jest poddaniem się dyktatowi własnej siły, własnym twórczym pomysłem na rzeczywistość i jej tych pomysłów narzucaniem, a poprzez to wszystko panowaniem nad światem, to odpoczynek winien być tego wszystkiego przeciwieństwem. Czym zatem? Wysłuchiwaniem się w rzeczywistość, pozwoleniem, aby ona przemówiła własnym głosem, powierzeniem się rzeczywistości i Rzeczywistości ufnym i bez – czynnym.

Odpoczynek to kontemplacja. To słowo właściwie znikło z naszego języka. Z ogromną dla języka i człowieka stratą. Jeszcze siedem wieków wstecz panowało powszechne przekonanie, iż życie kontemplacyjne jest ważniejsze niż życie aktywne (czynne). Dzisiaj często słyszymy opinię, że zakony kontemplacyjne to „banda nierobów”. Tymczasem kontemplacja to mądre przyzwolenie na to, aby „coś”, „Ktoś” potężniejszy od człowieka uderzył go swoją obecnością i przebudził z iluzji, w jakie człowiek poprzez swój niepokonywany aktywizm (nieustanne czynienie) wkiła się czasami niezwykle głęboko. W łacińskim słowie *contemplatio* wybrzmiewa słowo *templum* – świątynia. Zatem kontemplacja to wejście w przestrzeń świątyni, w jej wzniosłość, jej boski oddech, to spojrzenie na świat oczami Boga.

Odpoczynek jako kontemplacja to burzenie przyzwyczajęń, rutyny, które zamykają nas na rzeczywistość większą, potężniejszą niż ta wykreowana przez naszą działalność, choćby najbardziej morderczą i wyczerpującą. Taki aktywizm (upojenie własnym działaniem) nie omija również sfery religijnej, a wtedy chce on nawet zbawienie zawdzięczać swojemu religijnemu czynowi. Pięknie pisze o tym jeden z najwybitniejszych teologów XX wieku H. Urs von Balthasar: „Jestem taki jak inni, może nawet lepszy od niektórych. To się pokaże na sądzie: nie będzie mi można zarzucić nic specjalnie obciążającego. Doprawdy miałem dobre chęci – solidnie się starałem; właśnie, żeby nie zapomnieć: wypełniałem swoje obowiązki jako człowiek religijny.

Jestem praktykującym chrześcijaninem, dobrym katolikiem, w niedzielę zawsze chodziłem do Kościoła, urządzałem Wielkanoc, dawałem jałmużnę, pilnowałem modlitwy rano i wieczór. Często i uważnie się spowiadałem. Odprawiłem dziewięć pierwszych piątków. W każdą niedzielę przystępowałem do Komunii. Codziennie przystępowałem do Komunii. Ja to, ja owo. Religią zbudowałem mur oddzielający mnie od Boga. Moje praktyki sprawiły, że zamknąłem uszy na Jego głos. To wszystko, co mogło być autentycznym życiem, zmieniło się niepostrzeżenie w mechanizm nawyków, w którym moja dusza wygodnie się poczuła” (*Serce świata*).

Człowiek swoim patologicznym aktywizmem może zbudować twierdzę, w której zamknie siebie na wszelkie litery, które nie pochodzą z jego własnego alfabetu. Kontemplacja to otwarcie oczu na niezwykłość świata, jego czarodziejskość, jedyność i niepowtarzalność własnego istnienia. Nie jestem swoim własnym dziełem, swoim własnym czynem. Jakże łatwo o tym zapomnieć w zaklętym kolisku pracy i działania. To z samego centrum kontemplacji płyną słowa, które zanotował G. K. Chesterton: „Krótko mówiąc, zawsze mi się wydawało, że świat jest czarodziejski; od pewnego momentu zacząłem także podejrzewać, że kryje się za nim jakiś czarodziej. To podejrzenie wydobyło głębokie, podświadome przeczucie, które zawsze mi towarzyszyło: przeczucie, że świat, w którym żyjemy, ma jakiś cel. A skoro jest cel, to musi też być osoba, która go wyznaczyła” (*Ortodoksja*).

Odpoczynek, przywracając człowieka sobie samemu, oddaje go równocześnie ciszy Boga. W ciszy Boga budzi się głębia ludzkiej bytowości, która najpełniej dochodzi do głosu w perspektywie niewyczerpywalnej Bożej Otchłani. To tutaj dopiero człowiek wie, kim naprawdę jest. W kontemplacji pozwalamy, aby przyszedł Ten, który „czyni wszystko nowe”. Zatem odpoczywając, mniej zwiedzajmy („zaliczajmy”) obiektów wartych zobaczenia, mniej atrakcji wszelkiego rodzaju szukajmy, a bardziej słuchajmy, co Bóg i Jego dzieło ma nam do powiedzenia.

KAIROS, 8/2017

Gdy źle pomyślano człowieka

Gdy Jan Paweł II pochylał się w refleksji tyleż wyrafinowanej co rzetelnej nad tajemnicą człowieka, konstatuując jednocześnie klęskę totalitaryzmu komunistycznego, który deklarował nieustannie swoje najgłębsze zainteresowanie człowiekiem i jego „wszechstronnym rozwojem”, wypowiedział słynne słowa o „błędzie antropologicznym”, tkwiącym w komunistycznym myśleniu o człowieku. Błąd ów polegał na zredukowaniu człowieka do ekonomii i polityki („stosunków społeczno – ekonomicznych”). W istocie refleksja nad człowiekiem owocowała nieustannie serią błędów antropologicznych, popełnianych w imię mówienia o człowieku albo za dużo, albo za mało. Sprowadzano człowieka bądź do fragmentu materii o skomplikowanym układzie nerwowym (wedle formuły *homo homini lupus est* – człowiek człowiekowi wilkiem), bądź wynoszono go do rangi boskiej (*homo homini Deus est* – człowiek człowiekowi bogiem) o nieograniczonych mocach demiurgicznych.

Zatrzymajmy się przy błędnym myśleniu o człowieku, które zadomowiło się w czasach nam najbliższych. Mentalność współczesna przemysłowo – naukowo – techniczna wyraża się w przekonaniu, że wszystko, co można dzięki środkom zaawansowanej techniki uczynić, winno się czynić. Ponadto uważa się, iż bezgraniczny gospodarczy, techniczny i militarny przyrost jest wartością samoistną, samą w sobie. Prawo, które ów postęp utrzymuje w ruchu, brzmi: „więcej produkcji – więcej konsumpcji”. Naukowo – techniczne zniewalanie natury zamyka człowieka w mechanizmach przez niego samego wytworzonych, które zdobywają nad nim niepodzieloną władzę, stając się coraz bardziej bezosobowe i niszczące. J. Moltmann, teolog kalwiński podkreśla: „System przemysłowy jest totalnie jednorodnym społeczeństwem, perfekcyjną siatką immanentnych uwikłań bez jakiegokolwiek otwarcia na transcendencję czy transcendowanie. Człowiek staje się w nim posthistorycznym człowiekiem. Nie potrzebuje ani dziejowych wspomnień, ani historycznej nadziei, ponieważ nie jest zmuszony do żadnych historycznych rozstrzygnięć”. Człowiek bezdusznej epoki technicznej jest całkowicie przeliczalny i obliczalny, pozbawiony tajemnicy i wystawiony na żer społecznych i biologicznych manipulatorów.

W tej perspektywie myślenia o człowieku nie dziwią propozycje wielu współczesnych bioetyków i biotechnologów. Dla P. Singera (wykładowcy Uniwersytetu Princeton) dzieciobójstwo w dwóch pierwszych latach życia jest dopuszczalne w razie stwierdzenia objawów zespołu Downa, autyzmu, lub nieznacznych zaburzeń regularnego rozwoju. Dla Th. Regana z Uniwersytetu Północnej Karoliny nie wszystkie istoty ludzkie są podmiotami – osobami. Osobą nie jest dla niego dziecko poniżej roku życia. Nie jest podmiotem osoba cierpiąca na zaawansowaną chorobę Alzheimera czy znajdująca się w stanie śpiączki. Zaś Gregory Pense z Alabamy zachęca do zacierania różnic pomiędzy człowiekiem a światem zwierząt, proponując interwencje genetyczne, które mogłyby doprowadzić do powstania hybrydy człowieka i szympansa albo człowieka i delfina. U podstaw tych i podobnych koncepcji tkwi wielce „humanitarna” idea życia niegodnego, aby je przeżyć. Myli się tutaj wartość użytkową, do jakiej sprowadza się człowieka uproszczonego do sfery psycho – somatycznej z godnością człowieka. Trafnie zauważa V. Frankl, wiedeński psychiatra: „Tak jak duchowa osoba przebywa <poza> obrębem psychofizycznych procesów chorobowych, tak jej godność stoi ponad: ponad utratą biologiczno – społeczną wartości”.

Człowieka nie można szacować wedle tego, ile jest zdolny wyprodukować i skonsumować. Ale jeżeli otworzy się furtkę do tego typu wyceny, wówczas otworem stanie straszliwy, bo za zgodą człowieka wzniesiony obóz koncentracyjny. Już zresztą widać powoli rysujące się mury takiej na skalę światową wznoszonej budowli. Konsumpcjonizm szaleje aż miło. Wszystkie markety, ile by ich nie było, są w jednej chwili wypełniane konsumentami. Jaki by to nie był dzień tygodnia (włącznie z niedzielą) przychodzą wielebni konsumenci, by celebrować jedyne w swoim rodzaju święto: pochłaniania, absorbowania, wypełniania nieznośnej pustki.

Czyż ponadto bombardowanie człowieka przeświadczeniami (absurdalnymi przecież) o wszechmocy pieniądza, o tym, że pieniądz bóstwem jest, które wszystkie drzwi potrafi otworzyć, zatem wszystko należy zrobić, by go pomnażać bezgranicznie, to nie powolne wznoszenie murów potwornego świata – obozu? Znakomity katolicki pisarz angielski B. Marschall w powieści *Chwała córy królewskiej* stawia bezkompromisowo niebagatelne pytania: „Czyż dyrektorzy banków, maklerzy giełdowi, prawnicy, przemysłowcy, którzy zachęcają młodzież do przepychania się łokciami przez życie, i ci, co gaszą jasny blask jej oczu, nie są większymi grzesznikami, niż pijacy i rozpustnicy, ponieważ grzechy popełniane przez nich w kantorach i biurach rozprzestrzeniają się po świecie i plamią niewinnych”.

Mam nieodparte wrażenie, że Kościół (Chrystusowy – o zgrozo) jakoś szczególnie lepi się do owych zatrutych pieniądzem, sam zezwalając na zatrucie swojego własnego organizmu. Zapomniał o Chrystusowym: Biada wam...?

KAIROS, 9/2017

Praca – wymogiem ludzkiego życia

Świętujemy „dożynki”. Składamy podziękę za plody ziemi. Pochylamy się też w zadumie nad rzeczywistością ludzkiej pracy. Po głowie snują się pytania, wątpliwości, czy warto w trudzie i znoju, w pocie czoła wciąż zmagać się z wyzwaniami, jakie stawia przed nami świat, raz przychylny, innym razem porażający obcością. Tak bardzo nieprzewidywalny.

Człowiek stając wobec świata, nie wie na pewno, czy jest z ziemi, czy dla ziemi, czy świat jest jego ojczyzną, czy może krainą wygnania, tymczasowy czy ostateczny. Wie jedno: jest tutaj – na świecie (w świecie) pośrodku spraw, które dzieją się na jego oczach, dotykają go, wciągają w wir różnorodnych problemów, wobec których nie może pozostać obojętny, bierny. Jest ziemia, po której stąpa, która go niesie, ale rani równocześnie, jest powietrze, którym oddycha, jest słońce, dzięki któremu jest jasno, ciepło, bezpiecznie, darzące promieniami i świecące blaskiem rozprasającym ciemność. To wszystko jest darmowo, jest jako dar, bez zasługi ze strony człowieka. Pokarmy ziemskie sycą głód ludzki, melodia świata kołysze go do snu. Ziemia jawi się jako kolorowy dywan rozpostarty dla człowieka – przez kogo, dlaczego – nie wiadomo. Oczy widzą, uszy słyszą, dotyk oswaja nas z kształtami świata. Ta idylla dopasowania człowieka i świata, rozkoszowania się światem, arkadyjskiej harmonii, dźwięczy w pięknym wierszu Cz. Miłosza *Dar*:

„Dzień taki szczęśliwy.
Mgła opadła wczesnie, pracowałem w ogrodzie.
Kolibry przystawały nad kwiatem kapryfolium.
Nie było na ziemi rzeczy, którą chciałbym mieć.
Nie znałem nikogo, komu warto byłoby zazdrościć.
Co przydarzyło się złego zapomniałem.
Nie wstydyłem się myśleć, że byłem, kim jestem.
Nie czułem w ciele żadnego bólu.
Prostując się, widziałem niebieskie morze i żagle”.

Doświadczenie uczy jednakże, że ów arkadyjski ton i narracja idylliczna nie jest właściwym i pełnym opisem relacji człowieka ze światem. Życie związane jest nierozzerwalnie z bólem, cierpieniem, często nie do oddania w słowach, oraz nieustannym napięciem między człowiekiem a światem. Życie boli, świat rani. Pomiędzy światem a człowiekiem coś iskrzy. Pisze znakomita myślicielka żydowska H. Arendt: „Kondycja ludzka jest taka, że ból i wysiłek nie są po prostu symptomami, które mogą zostać usunięte bez zmiany samego życia; są raczej sposobami, na które życie wraz z koniecznością, do której jest uwiązane, daje się odczuć. Dla śmiertelników ‘łatwe życie bogów’ byłoby życiem pozbawionym życia (*Kondycja ludzka*). Ból, niedogodność sprawiają, że życie jest odczuwane w swoisty sposób: właśnie po ludzku. Człowiek czuje z jednej strony, że jest bliski światu, doświadcza zbratania ze światem, pozostaje otwarty, ale jednocześnie czuje, że świat jest odległy, jest obojętny, zimny, obcy, wreszcie wrogi człowiekowi. Poczucie obcości świata nie zostało chyba nigdzie tak przejmująco zapisane, jak w dziele Pascala: „Wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie”. I dalej: „Widzę te przerażające przestrzenie wszechświata, które mnie otaczają, czuję się przywiązany do kącika tej rozległej przestrzeni nie wiedząc, czemu mnie pomieszczono raczej

w tym miejscu niż w innym, ani czemu tę odrobiną czasu, jaką mi dano do życia, wyznaczono w tym, a nie w innym punkcie całej wieczności, która mnie poprzedziła, i tej, która ma po mnie nastąpić. Widzę ze wszystkich stron same nieskończoności, które zamykają mnie niby atom. I niby cień trwający niepowrotną chwilę. Wszystko, co wiem, to jeno to, iż mam niebawem umrzeć; ale co mi najbardziej nieznanie, to sama śmierć, której niepodobna mi uniknąć” (*Myśli*). Człowiek istnieje (rzucony i porzucony w świecie), ale równocześnie jakby nie jest (na granicy nicości, drobina, atom wobec nieskończoności). Obcy w obcym świecie. Ale nawet w taką sytuację uwikłany, chce przede wszystkim żyć, chce za wszelką cenę trwać.

W obliczu tych doświadczeń pytamy: być w świecie – to być u siebie, czy przebywać w krainie wygnania? Świat – miejsce swojskie, czy bezdroża obcości? Posłuchajmy J. Tischnera: „Dotykamy tu jakiegoś paradoksu: człowiek przychodzi na świat i zarazem jest ze świata. Wynika z tego, że człowiek jest i nie jest na świecie, ponieważ jest zarazem ze świata. Paradoks ów od nieco innej strony ukazuje nam sens słówka *mój* – *mój* świat. *Mój* ma najpierw sens negatywny: nie jestem częścią świata – ja i świat to nie jedno i to samo. Do tego dochodzi sens pozytywny: mimo to świat nie jest dla mnie czymś obcym. Co to znaczy? Co znaczą obydwie momenty połączone razem? Świat jest *dla* mnie. Słowo *dla* wskazuje na obietnicę – świat *mój* to świat danej mi obietnicy, świat zarazem obiecany i obiecujący. Przywiązuję się do świata – ja gospodarz świata – na tyle, na ile w moim życiu na świecie sprawdza się archaiczna obietnica” (*Filozofia dramatu*). W tekście uderza jedno sformułowanie: człowiek jako gospodarz świata. Gospodarz to ktoś, kto czuje się na gospodarstwie u siebie, wie, co robić, jakie działania podejmować. Okazuje się, że w sytuacji obcości świata (kapryśnego i nieprzewidywalnego) wobec człowieka (świat może porazić katastrofą powodzi, trzęsienia ziemi, nieurodzajem, suszą), obcości człowieka wobec świata, możliwe jest gospodarowanie.

Świat może stać się gospodarstwem. Dźwięczą w tej postawie wobec świata słowa początku, zapisane w *Księdze Rodzaju*: „Czyńcie sobie ziemię poddaną”. Człowiek zostaje postawiony nad ziemią. Ziemia ściele się u jego stóp. Nie jest jednak panem ziemi, ale jej gospodarzem. Ma ziemi służyć i strzec jej. Praca jako gospodarowanie jest odnajdywaniem, wydobywaniem skarbów, jakie Bóg umieścił w ziemi. Człowiek jest od ziemi zależny, jest jej konserwatorem a nie eksploatatorem. Zanim zacznie do ziemi przemawiać poprzez pracę, winien uważnie w jej rytm się wstuchać. Píše Tischner: „Człowiek musi, aby żyć, znosić początkową surowość ziemi... Ziemia ma określoną naturę. Ma ona swój ład, porządek, swą własną logikę. Nie wolno lekceważyć natury ziemi. Aby panować nad ziemią – sceną, trzeba ją rozumieć. W przeciwnym wypadku ziemia może się zbuntować przeciw człowiekowi” (*Filozofia dramatu*). Praca jawi się jako wymóg, jaki życie ludzkie kieruje ku człowiekowi. Świat jakby domagał się ze strony człowieka czynu pracy. Nie jest ukończony, jest otwarty, surowy, nachylony w stronę człowieka, jest dla człowieka i może być poprzez człowieka. Życie ze swoimi koniecznościami, potrzebami, domaga się ich zaspokojenia. Ono chce pożywienia, chce przyodziewku, chce mieszkania. Praca chce oswoić świat, a osuwając go chce sobie świat przyswoić. Przychodzi moment, kiedy człowiek mówi: „mój świat”. W ten sposób praca staje się źródłem własności, bogactwa, źródłem wszelkiej wartości, człowieczeństwa wreszcie. Praca zaczyna odczuwać rytm świata i w ten sposób staje się dotrzymywaniem kroku ziemi. Nachylony ku człowiekowi

świat wyzwala pracę, praca ze swojej strony wyzwala moce świata. Wyzwala ze świata to, co w nim ukryte, co czeka na wydobywanie. Prawdę tę poetycko oddaje K. Gibran: „Pracujesz, aby dotrzymać kroku ziemi i duszy ziemi. Albowiem nic nie robić, oznacza stać się obcym porom roku i wystąpić z pochodzenia życia, który majestatycznie i z pełnym godności poddaniem zmierza ku nieskończoności. Pracując jesteś jak flet, w którego wnętrzu szept godzin przeistacza się w muzykę. Któż z was chciałby być trzcina, głuchą i milczącą, gdy wszystko wokół śpiewa harmonijnie” (*Prorok*). Życie ludzkie jest oplecione znojem, znój wyciska na życiu człowieka szczególnie znamię. Sprawia, że życie to jest ludzkie właśnie, nie zwierzęce, nie boskie, ale ludzkie. Tym znamieniem jest praca. Jeszcze raz posłuchajmy Gibrana: „I podejmując trud naprawdę kochacie życie. A kochać życie przez trud to poznać najistotniejszy sekret życia” (*Prorok*).

KAIROS, 10/2017

Praca wymogiem życia ludzkiego c. d.

Z trudu pracy rośnie dom człowieka. Praca pozwala zadomowić się na świecie. Dom to kwintesencja swojskości. Dom sprawia, że świat staje się światem człowieka. Dzięki domowi człowiek zamieszkuje ziemię. Pisze H. Arendt: „Świat, dom wzniesiony przez człowieka na ziemi i uczyniony z materiału, który ziemską przyrodę oddaje w ludzkie ręce, składa się nie tylko z rzeczy, które się konsumuje, ale i z rzeczy, których się używa. Jeśli przyroda i Ziemia ogólnie stanowią warunki ludzkiego życia, to z kolei świat i rzeczy świata stanowią warunki tego, że specyficznie ludzkie życie może na Ziemi znajdować swój dom. Przyroda widziana oczyma *animal laborans* jest wielkim dostawcą wszelkich ‘dóbr’ należących jednak do wszystkich jej dzieci, które biorą je z jej rąk i ‘łączą się z nimi’ w pracy i konsumpcji. Ta sama przyroda widziana oczyma *homo faber*, budowniczego świata ‘dostarcza tylko materiałów, które same w sobie są niemal bezwartościowe’, a cała ich wartość tkwi we włożonej w nie pracy. Bez brania rzeczy z rąk natury i konsumowania ich oraz bez bronięcia się przed naturalnymi procesami wzrostu i rozpadu *animal laborans* nie mogłoby przetrwać. Natomiast bez zadomowienia się pośród rzeczy, które z racji swej trwałości nadają się do użytku i do wznoszenia świata, którego samo trwanie jest bezpośrednim przeciwieństwem życia, życie to nie byłoby ludzkie” (H. Arendt, *Kondycja ludzka*). Pochylmy się na moment nad tym ważnym tekstem. Zamieszkiwanie człowieka na ziemi jest wynikiem zespolenia trudu *animal laborans* i *homo faber*. To ważne kategorie w myśleniu tej utalentowanej uczennicy Heideggera. Człowiek jako *animal laborans* (istota pracująca) pracuje gwoździem do podstawowych potrzeb (zdobycia pożywienia, ubrania, mieszkania). Pracuje, aby konsumować, aby podtrzymać proces życiowy. *Homo faber*, czyli człowiek wytwórca narzędzi, wznosi świat przedmiotów użytkowych, świat maszyn, świat artefaktów (sztucznych przedmiotów), jak powiada Heidegger, czegoś do czegoś ze względu na coś. On nie tyle pracuje, ile wytwarza. Kiedy między tymi dwoma rodzajami ludzi panuje harmonia, świat jest miejscem zamieszkiwania człowieka. Kiedy *homo faber* emancypuje się od ludzkiego procesu życiowego, świat staje się miejscem walki i przemocy, światem instrumentalnej użyteczności, gdzie wszystko i wszyscy są już tylko narzędziami służącymi realizacji jedyne go celu: bezwzględnego panowania człowieka nad światem. W wytwarzaniu, które jest domeną *homo faber*, mamy do czynienia z dużą dawką przemocy. Oddajmy raz jeszcze głos H. Arendt: „Ów element pogwałcenia i przemocy obecny jest w każdym wytwórstwie i *homo faber*, stwórca ludzkich artefaktów, zawsze był niszczycielem przyrody. *Animal laborans*, który swoim ciałem z pomocą zwierząt domowych daje pożywienie życiu, jest może panem i władcą wszystkich żywych stworzeń, lecz nadal pozostaje sługą przyrody i ziemi; dopiero *homo faber* zachowuje się jak pan i władca całej ziemi. Skoro jego produktywność pojmowano na podobieństwo Boga – Stwórcy, z tą różnicą, że tam, gdzie Bóg stwarza *ex nihilo*, człowiek stwarza z zastanej substancji, ludzka produktywność na mocy definicji musiała zaowocować prometejskim buntem, ponieważ mogła wnieść świat tworzony przez człowieka dopiero po zniszczeniu części przyrody stworzonej przez Boga” (*Kondycja ludzka*). *Homo faber* jawi się jako destruktor, który na gruzach świata wznosi świat nowy, zbudowany przez siebie samego, bez dania posłuchu samej ziemi. Nie chce rozumieć logiki ziemi, nie chce rozumieć logiki pracy. Świat przestaje przemawiać swoim rytmem, przestaniem kierowanym do

człowieka, a staje się wielkim kombinatem budowy, który rości sobie pretensje do bycia ostateczną rzeczywistością. Poza tym światem, sztucznie wzniesionym w wyzywającym, prometejskim czynie, nie ma innego. Taką postawę Tischner nazywał terryzmem: „Terryzm wiąże całą nadzieję człowieka z doczesnością i domaga się od niego zgody na scenę jako jego ostateczność. Jest ślepy na przygodność, metaforyczność, względny charakter sceny” (J. Tischner, *Myślenie według wartości*).

Praca, której rezultatem jest zdomowienie, pozostaje otwarta na mowę świata. Dom wzniesiony rękami ludzkimi narażony jest na kaprysy ziemi. Jego kruchość wyraża się w tym, że może stać się ofiarą powodzi, trzęsienia ziemi. Uptywający czas sprawia, że pustoszeje. Ludzie odchodzą, opuszczają go, on sam pada ofiarą czasu. Praca ludzka wzniosła dom. Ta praca pyta teraz: „Czym jest dom, czy domem rzetelnym, czy jedynie obietnicą domu? Czy człowiek jest w stanie zbudować rzetelny dom? Czy jest w stanie zdomowić się tutaj? Czy jego przywiązanie do domu jest przywiązaniem do czegoś mocnego i trwałego?” (J. Tischner, *Filozofia dramatu*). Tak oto praca otwiera na czas. Człowiek poddany jest upływającemu czasowi. Czas przenika pracującego człowieka, ale przenika również owoce pracy. Zakorzenia w ziemię poprzez pracę, ale i prowadzi poza ziemię, wykorzeniając z niej człowieka.

Poprzez pracę człowiek zakorzenia się w ziemi. Wymóg pracy, jaki płynie od strony ludzkiego życia, owocuje domem. Píše Tischner: „Dzięki pracy przestrzeń otaczająca dom przemienia się w przestrzeń służącą domowi i życiu w domu. Praca ma zdolność konstruowania. Wznosi ona między człowiekiem a naturą świat pośredni – świat przystosowany do zaspokajania zarówno stałych jak i zmiennych potrzeb człowieka... Pracować na tym świecie znaczy zakorzenić się” (*Filozofia dramatu*). Praca wkorzenia człowieka w ziemię. Pytamy, jak głęboko? Czy zamyka go w cyklu wytwarzania i konsumowania, w obiegu wymiany materii? Czy zamyka w mozołe nieustannych czynności? Czy jak w wierszu Gałczyńskiego: „Cząstka pracy wykonana, i znów cząstka, i znów cząstka, i znów noc, i znów od rana do cząstki dodana cząstka” (*Pieśni*).

Bezdiskusyjne jest jedno: dzięki pracy człowiek przybliży się do poznania jakiejś prawdy o ziemi. Poznaje stopniowo, czy ziemia jest ziemią obiecaną, czy też może obietnicą ziemi innej. „Wydobywając z ziemi to, co najlepsze, człowiek doświadcza natury świata jako ziemi obiecaniej. Smakując chleb, człowiek smakuje obietnicę, która się ziściła. Wierzy, że nie jest tu intruzem. Owocowanie pracy to potwierdzenie archaicznej obietnicy. Ale praca nie zawsze owocuje. Przychodzą lata nieurodzaju, wybuchają wulkany, wody występują z brzegów. Krótkie trzęsienie ziemi zamienia w ruinę pracę wielu pokoleń. Co więcej: człowiek umierając, umiera zwyciężony własną pracą. Ta sama praca, która służyła rozwojowi i podtrzymywaniu życia, staje się źródłem słabości i śmierci. Praca nie tylko uczłowiecza człowieka, praca może także zabić człowieka. Człowiek umiera umęczony pracą” (Tischner, *Filozofia dramatu*).

Nieprawdą jest, jakoby praca wiktła człowieka w siebie samego, we własne projekty, zamierzenia. Nieprawdą, że wznosi sztuczny świat maszyn, który niszczy zarówno człowieka jak i świat. Może się tak stać, jeśli *homo faber* w obłądnym cyklu wytwarzania nie potrafi zatrzymać się w namyśle nad swoim działaniem. Praca, jeśli skupia na sobie namysł nad sobą, staje się poznawaniem kondycji ludzkiej i kondycji świata. Praca rozpoznaje stabilność świata, jego

trwałość, jego istnienie po śmierci człowieka. Jak słusznie zauważa H. Arendt, gdyby wiedziało się, że świat przeminie wraz z naszą śmiercią, lub krótko po niej, utraciłby całą swoją realność, całą swoją konsystencję, jak to się stało w wypadku pierwszych chrześcijan, kiedy byli przekonani o prędkim spełnieniu się żywionych przez nich oczekiwań eschatologicznych. Jednocześnie człowiek dzięki pracy poznaje, iż „przemija postać tego świata”.

KAIROS, 11/2017

Ku czemu idziemy, żyjąc tak, jakby Bóg nie istniał?

Jan Paweł II w homilii wygłoszonej w czasie Mszy świętej beatyfikacyjnej Anieli Salawy w roku 1991 nawiązując do wydarzeń z życia proroka Eliasza, a potem spojrzenie kierując ku czasom współczesnym, między innymi mówił: „Nieznane jest człowiekowi współczesnemu takie bałwochwalstwo, jak za czasów Eliasza. Próby wiary przeszły długą ewolucję. Dziś nie stawia się pytania: <Jeśli Jahwe jest Bogiem, idźcie za Nim, jeśli Baal, idźcie za nim>. Dziś usiłuje się sprawę uczynić zasadniczo nieważną. Dla człowieka przy końcu XX stulecia program brzmi: <Żyjmy tak, jak gdyby Bóg nie istniał>. Jednak jeśli Bóg nie istnieje, wszystko wolno – stwierdził już Dostojewski. Jesteśmy poza dobrem i złem – dopowiada Nietzsche. Kiedy wiek XX zbliża się ku końcowi, mamy za sobą doświadczenia aż nazbyt wymowne i straszliwe, które świadczą o tym, co w rzeczywistości oznacza ten nietzscheański program. Ku czemu idziemy, żyjąc tak, jakby Bóg nie istniał?”.

Chcemy, biorąc za przewodnika tę niewielką część spuścizny Jana Pawła II, fragment kazania krakowskiego, przyjrzeć się trwożącym zjawiskom czasów obecnych, naznaczonych mentalnością „postmodernistyczną”, która konstatuje rozprzęganie się wszystkiego ze wszystkim, na dodatek sankcjonuje wszelkie odmiany pragmatyzmu, cynizmu, konsumpcjonizmu w relacjach międzyludzkich, przyczyniając się do rozpadu jedności człowieka, głosząc śmierć podmiotu, śmierć ja, narzucając na tożsamość ludzką mroczną zasłonę nieprzejrzystości, rozplątanie się jaźni ludzkiej w różnorodnych strukturach. Z człowieka pozostają tylko różne punkty widzenia, z jakich postrzega on rzeczywistość (której również nie ma), jako że jest konstruktem społecznym, politycznym, ekonomicznym. Ale i sam człowiek wyłania się z różnych punktów widzenia, poddany procesowi fragmentaryzacji, którego nic nie jest w stanie powstrzymać. Znakomicie całą rzecz przedstawia jeden z najwybitniejszych współczesnych myślicieli amerykańskich A. MacIntyre: „Z punktu widzenia fizyki ludzie są złożeni z cząstek, które wzajemnie na siebie oddziałują zgodnie z probabilistycznymi uogólnieniami mechaniki kwantowej. Z punktu widzenia chemii wszyscy jesteśmy siedliskami reakcji chemicznych, zbiorowiskami pierwiastków i związków chemicznych. Z perspektywy biologii jesteśmy wielokomórkowymi organizmami należącymi do jednego z gatunków, z których każdy ma własną przeszłość ewolucyjną. Z perspektywy historyków ludzi można zrozumieć jedynie jako wyłaniających się z długich dziejów przemian społecznych i ekonomicznych. Dla ekonomistów jesteśmy racjonalnymi, maksymalizującymi zysk istotami podejmującymi decyzje. Z punktu widzenia psychologii i socjologii kształtujemy swoje spostrzeżenia, emocje, swoje społeczne role oraz instytucje oraz jesteśmy przez nie kształtowani. (...). Ale jak się do siebie mają te wszystkie ujęcia? Na czym polega jedność człowieka? Jak odkrycia każdej z tych dyscyplin powinny przyczyniać się naszego rozumienia siebie i swojego miejsca w przyrodzie?”¹.

Przytoczony wyżej fragment homilii kończy się pełnym dramatyzmu pytaniem, które stanowi jakby podsumowanie wcześniejszych, mocno skondensowanych wywodów. Zasadna wydaje się być papieska konstatacja, iż ogromna liczba ludzi obojętna pozostaje wobec kwestii, które wykraczają poza „świata tego koła”, nie troszcząc się zgoła wcale o swoje przeznaczenie

¹ A. MacIntyre, *Bóg – filozofia – uniwersytety*, przeł. A. Łagodzka, Warszawa 2013, s. 239-240.

ostateczne, nie zdobywając się na powagę stosowną do głębi i tajemnicy życia. Mało tego, kondycja etyczna, (może głębiej duchowa) owych mas ludzkich (termin ohydny, ale do pewnego stopnia celny), zdaje się być rażąco nędzna, przeciętna to znaczy nijaka. Żarłoczność nie-pohamowana, konsumpcja bezwstydną („idiotyzm konsumpcyjny”) zdają się wypełniać sporą część aktywności ludzkiej. Kiedy wmyślimy się w prorocki entuzjazm Nietzschego (przywołanego zresztą w papieskiej homilii), który snuje rojenia o wielkości czekającej „wolne duchy” po „śmierci Boga” (jakiej śmierci i jakiego Boga?), nic z przepowiadanej wielkości i promienistości i niewyobrażalnego entuzjazmu mających się objawić *post mortem Dei* nie daje się dostrzeć. Pisał Nietzsche w *Wiedzy radosnej*: „...czujemy się na wieść, że <Bóg umarł>, jakby opromienieni nową jutrzeźką; serce nasze przelewa się wdzięcznością, zdumieniem, przeczuciem, oczekiwaniem – w końcu ukazuje się nam widnokrąg znów wolny, chociażby nawet nie był jasny, wreszcie znów mogą wybiegać okręty nasze, przeciw niebezpieczeństwu każdemu wybiegać...”². Nic przecie z tej atmosfery opisanej ręką autora nowej ewangelii (czy raczej anty – ewangelii) *Tako rzecze Zaratustra* nie staje się udziałem istoty skarłatej i przytłoczonej światem, konwulsyjnie czepiającej się chwil rwącego się nieustannie życia. W miejsce oczekiwanego przez Nietzschego „nadczłowieka” przyszła „tresowana małpa”, która bawi się kapryśnie zbyt wielką ilością błyskotek, nudząc się i gnuśniejąc niepomiernie, zaś remedium na nudę szukając we wszechobecnej taniej rozrywce. Znakomicie całą degrengoladę czasów obecnych oddaje tekst wyjęty z jednej z powieści znanego i cenionego pisarza W. Myślińskiego. Narrator dotyka tutaj sprawy małżeństwa i jego postępującego rozkładu: „Bo też długo można z takim ślubnym? Rok, dwa i dosyć wierności. Na szczęście świat odrzucił te wszystkie przesady, nawyki, przyzwyczajenia. Na dłuższy związek już człowieka dzisiaj nie stać. Każdy za czymś goni, do czegoś się wspina, to z kimś drugim jak z kulą u nogi. Mówić się już nie chce, a tu trzeba. Nie ma o czym, a tu trzeba. Zdarzają się, nie powiem, małżeństwa do śmierci. Ale to już zabytki. Niedługo będzie się do takich wycieczki prowadzić, jak do zamków, katedr, muzeów. Małżeństwo, prawdę mówiąc, to dzisiaj spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Upada, zakłada się drugie. I się kręci, aby jakoś, aby dalej, aby do końca. Diabła warte to nasze życie, powiem panu”³. Daje do myślenia kadencja tej narracji, która zaczyna się przypisaniem rosnącej liczbie ludzi kondycji Don Juana (filozof duński Kierkegaard zaliczył go do estetycznego stadium życia, czyli takiego, jak chce Nietzsche, które rozgrywa się poza dobrem i złem), a kończy pełną znużenia i obrzydzenia oceną życia. Rozprzegają się więzi międzyludzkie, rozmywają relacje, leży w gruzach stateczność i wierność (trwanie w tonie złożonej obietnicy) osoby ludzkiej. Traci na znaczeniu semantyka ludzkiej mowy. Wszystko można, bo nic nie ma znaczenia. Papież, znów zasadnie, przywołuje prorocze słowa Dostojewskiego: „Jeżeli Boga nie ma, wszystko jest dozwolone”. Tam, gdzie życie staje się jedynie następowaniem po sobie ulotnych chwil (bez powagi właściwej odpowiedzialności i stałości), w końcu musi się przeciwko sobie obrócić, bądź w mizериę i nieznośną miąłkość się stoczyć.

KAIROS, 12/2017

² F. Nietzsche, *Wiedza radosna*, przeł. L. Staff, Kraków 2003, s. 183-184.

³ W. Myśliński, *Traktat o huskaniu fasoli*, Kraków 2010, s. 52.

Nostalgia listopadowa

Nastraja nas dziwnie listopad. A to z racji różnych. Rozpoczyna go uroczystość Wszystkich Świętych. Zatem świętujemy pełnię życia, jaka tylko człowiekowi jest dostępna z łaskawości i przychylności Boga. Nic z tego, co niezwykle, dobre, cudowne, nie zapadło się w nicość. Trwa utrwalone w Bogu, przygarnięte, chronione przez Niego z pieczołowitością, troską nieskończoną. Potem przypada wspomnienie wszystkich wiernych zmarłych. Przywołujemy przeto na pamięć tych, z którymi losy ziemskie na różne sposoby nas zetknęły, związały, ale których już pośród nas nie ma, bo wyrwani zostali spośród żywych przez nieuchronną potęgę śmierci. Jednakże nie myślimy o nich jak o nieistniejących, usuniętych z życia, ale raczej jak o tych, którzy zmagają się jeszcze z własnymi przewinami, wszak przebijają się ku bezbrzeżnemu życiu. Zatem nie staje się ich udziałem nicość.

Miesiąc listopad to wtargnięcie w nasz świat świata innego, niewidzialnego, ale eksplodującego jakimś tajemniczym istnieniem, trwaniem. Świat ten jakby nas ku sobie przyzywał, wołał. Z jednej strony myślenie o śmierci na wskroś przenika nastrojowość listopadową. Śmierć rozrywa więzi, budzi grozę, sieje zniszczenie. Z drugiej jednak strony spoza otchłannej grozy unicestwienia i spustoszenia wybłyśka życie, które karmione miłością, chce trwać. A trwanie owo przejawia się w uporczywej wierze w obcowanie nas żyjących życiem ziemskim z żyjącymi innym już życiem, gdzie indziej. Pragniemy ich trwania, bo taka jest wewnętrzna logika życia. Znakomicie całą rzecz odśłania Cz. Miłosz w wierszu *Do Józefa Sadzika*. Łączyły go z nim więzy serdecznej i głębokiej przyjaźni. Kiedy umarł, poeta nie może pogodzić się sytuacją tak radykalnego zerwania, zniknięcia, odejścia. Pisze:

Jakże tak można, pośrodku rozmowy
Zniknąć i nawet nie powiedzieć: 'wróć'
I dom od razu mieć wieloechowy
Skąd żadnej wieści, tylko szum zakłóceń?

W strofę tę wpisana jest cała gama splątanych uczuć: zawód, tęsknota, przecucie, że jest, ale inaczej, niedostępnie jeszcze, niepochwytne. I jest niezgoda na to bolesne rozstanie. Potem słyszymy głos nie pozwalającej się uciszyć nadziei:

[...] Bo twoja obecność
Dla mnie tak mocna, że zawsze prawdziwa.
I chociaż nie wiem, co jest czas, co wieczność,
Ufam, że słyszysz ten głos, który wzywa.

Pragnienie, żeby był, jest tak mocne, że najmniejszej wątpliwości nie żywi, by poddany mógł zostać procesowi unicestwienia, rozpadu. Tak podtrzymują się w istnieniu ci, co wierzą, że miłość potężniejsza jest niż śmierć. Wszakże powiada G. Marcel: „Kochać drugiego, to mówić mu: ty nie umrzesz”. Wreszcie poeta jakby z otchłani pewności, że życie zwycięży w swych kształtach najpiękniejszych, wyznaje:

Żywi z żywymi zanadto złączeni
Żebym uznawał moc zamkniętych granic
I nad podziemną rzeką, w państwie cieni
Zgodził się ciebie, żywego zostawić.

Zatem w nostalgii listopadową wsącza się pieśń życia, które nie pozwala się wchłonąć przez śmierć. To w tym miesiącu słyhać wołanie tych, którzy rozdzieleni przez śmierć, tak nieznośnie tęsknią za swoją wzajemną obecnością, że pogodzić się nie mogą z owym bolesnym rozłączeniem. Dlatego porwani zewem prawdziwej ojczyzny, chcieliby połączyć się z tymi, którzy odeszli, na łonie trwania bez kresu.

Przywołajmy jeszcze powieść H. Sienkiewicza *Bez dogmatu*. Dandys i lekkoduch, bohater powieści, swoim lekkomyślnym postępowaniem doprowadza bezmyślnie do śmierci kobietę, która żywiła ku niemu miłość bezgraniczną. Zapis końcowy brzmi lapidarnie: „Anielka umarła dziś rano”. Wtedy dopiero budzi się w nim pragnienie połączenia się z istotą, którą tak obrzydliwie i głupio lekceważył w życiu ziemskim, przyczyniając się do jej śmierci. Notuje zatem ostatnie swoje wyznanie czynione umarłej (dla niego wszak teraz właśnie obecnej, teraz, gdy śmierć nieodwołalna ją dotknęła): „A czy Ty myślisz, że ja się śmierci nie boję? Boję się, ponieważ nie wiem, co tam jest, i widzę tylko ciemność bez granic, przed którą się wzdrygam. Nie wiem, czy tam jest nicość, czy jakiś byt bez przestrzeni i czasu, czy może jakiś wicher międzyplanetarny nosi monadę duchową z gwiazdy na gwiazdę i wszczepia ją w coraz nowe istnienia; nie wiem, czy tam jest niezmierny Niepokój, czy Spokój równie niezmierny, a tak doskonały, jaki tylko Wszemc i Wszedobroć dać może”. Wyznanie jest pełne patosu, ale przebija z niego wiara w możliwość spotkania innego, już wyzwolonego z ograniczeń egzystencji ziemskiej, tak pełnej cieni i niejasności: „Więc im bardziej się boję, im bardziej nie wiem, tym bardziej nie mogę Cię tam samej puścić – nie mogę, moja Anielko – i idę.

Albo tam wspólnie utońmy w Nicości, albo niech wspólna będzie nasza droga, a tu, gdzieśmy się tyle namęczyli, niech zostanie po nas tylko milczenie”.

Tak to listopad odłania przed nami ścieżki, po których zmierzają na spotkanie rozdzieleni przez śmierć.

Czekanie adwentowe

Człowiek cały utkany jest z oczekiwań. Nieustannie na coś czeka. Są oczekiwania małe i wielkie. Takie, które człowieka usypiają, i takie, które porywają na szlak nie znajdującej ukojenia wędrówki. Pisał wszakże R. M. Rilke:

A ty czekasz, ty czekasz na jedno,
co twe życie wzniesie nieskończenie,
na wielkie, niezwykle zdarzenie,
na kamieni nagłe przebudzenie,
na głębie, co u stóp twych legną.

Czy jednak owa tęsknota oczekiwań, ów niepokój w oczekiwaniu wpisany, nie jest jakimś łudzeniem się człowieka, nie jest jedną wielką mistyfikacją, jakiej poddana zostaje istota ludzka, swoistym rodzajem strategii przetrwania wobec zawodów, rozczarowań, jakie nieustannie stają się jej udziałem? Może poza oczekiwaniem nic się nie kryje? Może oczekiwaniu nikt nie wyjdzie naprzeciw? Może pustka bezdenna kryje się za niepokojem oczekiwania? Może, jak chce jeden z twórców teatru absurdu, S. Beckett, *Godot*, na którego czekają wszyscy w znanej sztuce *Czekając na Godota*, nigdy nie przyjdzie, bo tragiczne do samego rdzenia jest istnienie ludzkie, bo jest samooszustwem, bezużyteczną pasją? Takie to pytania rodzą się, kiedy wmyślamy się w czar czekania adwentowego.

Nie pocieszają nas mędrcy, kiedy przeraźliwie trzeźwo wieszczą kres ludzkiego losu. T. de Chardin: „Przyjdzie dzień, kiedy także i ziemia jako wielka skamielina krążyć będzie wokół słońca, cała biała. Nie będzie na jej powierzchni żadnego ruchu. W jej wnętrzu spoczywać będą nasze kości”. Zaś J. Rostand odziera nas z wszelkich złudzeń, odstawiając banalny finał wszelkiej aktywności ludzkiej, całego *theatrum mundi*: „Jest rzeczą prawie pewną, że ziemia któregoś dnia ulegnie do tego stopnia ochłodzeniu, iż nie będzie już możliwa na niej kontynuacja życia ludzkiego. Jakąkolwiek rozwinąłby człowiek energię, żeby przetrwać, pewnego dnia, nieuchronnie, będzie musiał ulec w owej nierównej walce”.

Nie milknie wszakże, mimo takich „trzeźwych” prognoz, zew ludzkiego czekania. Ciągłe niepokojny, ciągle wypatrujący czegoś (Kogoś?), co przyniesie mu jakiś nowy wątek, otworzy jakiś nowy horyzont. Zaiste, jak chce E. Bloch, myśliciel niemiecki żydowskiego pochodzenia, być człowiekiem, to być w drodze do czegoś innego, nie znanego, nie mieszczącego się w granicach ludzkiej wyobraźni, ale jednak wołającego ku sobie.

Można stłumić głos owej tęsknoty, można zrezygnować z czekania, ale wówczas sposobem bycia człowieka stanie się codzienna płytka i doraźna krzątania, zabiegi wokół małych, nieistotnych spraw, ucieczka w nijakość, robienie interesów, byle zapełnić pustkę ludzkiej egzystencji. Przerażający tekst, wyjęty z książki H. Hessego *Wilk stepowy*, odstawia ramy zdevastowanego ludzkiego świata zamkniętego w sobie, wyjąłowego z pełnego tęsknoty oczekiwania:

Trzoda ludzka popędzana lękiem,
Dyszy chucią i o szczęściu marzy.
Mdły jej odór wokół się wyczuwa,
Sama żżera się i znowu się wypluwa.

Knuje wojny tworzy sztuki piękne,
Dom rozpusty przyzdabia złudą,
Grzęźnie w blichtrze dziecięcego świata,
Tłoczy się i ginie przed jarmarczną budą.
Dla każdego z fal się wznosi kształt żywota,
By się rozpaść znów na bryły błota.

Albo niepokój oczekiwania, zmierzanie mozolne ciągle dalej, albo zamknięty pusty świat ludzkich cyborgów, wydrążonych ludzi. Rzeczywiście, gdzieś z przerażającej pustki wyłaniają się zarysy takiego anty – świata. Ktoś celnie zauważył: „Stajemy się społeczeństwem ludzi słabych i z nadwagą, lecz obsesyjnie zainteresowanych zdrowiem i perfekcyjnym wyglądem; ludzi w takim stopniu nawykłych do przyjemności i wygod, że najmniejsza ich utrata i najprostszy wysiłek stają się czymś potwornym i nie do zniesienia; ludzi nawykłych do bylejakości: komercyjnej żywności, taniej rozrywki, bezwartościowych leków...”

Czas Adwentu budzi nasze oczekiwania, przypomina, że w przestrzeń świata zdewastowanego ludzką bylejakością wkracza Bóg – Twórcza Miłość, która chce nas porwać ku innym, nowym światom, wyzwolić z ciasnoty, uwolnić człowieka od tego, co zatrzymuje go w niej na jego miarę zamkniętych przestrzeniach.

KAIROS, 14/2017

Zabawa, gra, świętowanie

Poza pracą, której już nieco uwagi poświęciliśmy na łamach naszej gazetki, człowiek spełnia siebie również poprzez wymienione wyżej uaktywnienia swojej egzystencji. W mądrze przeżywanym życiu chodzi o to, aby każdej z tych aktywności dać swój czas i nie przemieniać jednej w drugą. Każda z osobna posiada swoją wewnętrzną, właściwą sobie logikę.

Zabawa wiąże się szczególnie z czasem dzieciństwa i młodości, co wcale nie znaczy, że wymiar zabawy w człowieku zanika wraz z młodością. Jest ona spontanicznym zachowaniem człowieka, swobodną ekspresją fantazji nieprzewidywalnej, chcącej się wyrazić w czystej, niezmaczonej radości. Przychodzi zniemacka i trwa tak długo, jak długo trwa radość człowieka. Ustaje tak nagle, jak nagle zaistniała, ale ciągle gotowa wybuchnąć na nowo. Wyrazem zabawy jest choćby taniec. Pisze J. Tischner: „Taniec jest szczególnym rodzajem naśladownictwa – jest naśladowaniem muzyki poprzez ruch”. Muzyka jest wyrazem głębokiego zadziwienia rzeczywistością, pragnieniem wydobywania jej bogactwa i złożoności. Jest próbą podniesienia świata, który często przytłacza, dławi, do takiego wymiaru, który wyzwala, daje poczucie piękna, wzbudza zachwyty. Przeto jest wyzwoleniem rzeczywistości do lekkości istnienia. Porywa nas ku przestrzeniom, w których króluje zwiewność i lekkość. H. Urs von Balthasar mawiał, że oficjalnie w niebie grają Bacha, zaś prywatnie słucha się Mozarta. Taniec jest spontanicznie – twórczym przełożeniem muzyki na ruch. Jest głębokim pragnieniem zatopienia się w bogactwie świata, zatracenia się w ruchu reżyserowanym przez rytm. Zabawa ma swój czas. Nie można sztucznie przedłużać jej w nieskończoność, bo zamieni się w lekkomyślną, nieznośną farsę, której przejawy obserwujemy we współczesnym zjawisku karnawalizacji (życie jako nieustanny karnawał). Bawimy się sobą, bawimy się w życie, bawimy się w śmierć. Nic nie jest poważne, wszystko jest zabawne. Człowiek staje się *homo ludens* (tak brzmi tytuł znakomitej książki badacza holenderskiego J. Huizingi). Pisze on w zakończeniu swojego dzieła: „Duch ludzki potrafi wyzwolić się z zaczarowanego kręgu zabawy wtedy jedynie, gdy wzniesie się ku sprawom najwyższym”. Być może pozostajemy nieszczęśliwie w kręgu nie kończącej się zabawy, ponieważ już nie potrafimy wzniesić się nigdzie wyżej poza dolinę ludzkiego smutku i płytkiej radości?

Ale oto zabawa niepostrzeżenie przechodzi w grę. Gra związana jest z regułami. To przepisy tworzą rzeczywistość gry. W grze chodzi o to, aby wygrać, ale też o to, by ją grać. W każdym człowieku tkwi gracz. Łatwo utopić się w grze, w jej regułach, które podniesione do rangi absolutnej, oderwane od rzeczywistości zewnętrznej wobec gry, zaczynają bezwzględną grę człowiekiem. W ten sposób granice gry nieustannie się poszerzają: mówimy o grze politycznej, ekonomicznej, miłosnej, grach językowych, grze etycznej.... Czy wszystko staje się grą. Pytamy, czy jest jakieś wydarzenie, które już nie da się wpisać w grę? Może jak u Szekspira:

Świat jest teatrem, a człowiek aktorem,
Wchodzi na scenę, i ze sceny schodzi,
A życie jest zwykłym scenicznym utworem,
W którym się człowiekowi zwykle kilka ról
przygodzi”.

A jednak reguły gry nie wyczerpują bogactwa bytu ludzkiego. Znowu schronimy się pod płaszcz poezji. Tym razem R. M. Rilke w wierszu *Doświadczenie śmierci*:

Lecz gramy dalej. Ciężko, gorzko wyuczone
recytując, z gestami, z minami niekiedy;
lecz życie twoje od nas oddalone
i usunięte z naszej komedii

może nas najść jak wiedza o doznanej
rzeczywistości, spadając wśród blasku,
tak, że możemy na chwilę porwani
istnienie grać nie myśląc o oklasku.

Śmierć bliskiej osoby, doświadczenie winy, odpowiedzialności, miłości, kończy grę i rzuca nas w objęcia rzeczywistości samej.

Przychodzi wreszcie czas świętowania. Czym on jest? S. Marai poucza nas: „Święto jest godnością życia, jego najwyższą mądrością. Gotuj się na nie ciałem i duszą”. Jest zatem nade wszystko wyrazem powagi. Nie sztucznej, udawanej, nadętej, nie takiej, która ma swoje źródło poza sobą. Powagi samego życia, jego sensu, przeznaczenia wiecznego. Świętowanie organizuje się zawsze wokół takich treści, które odsłaniają ostateczne prawdy o ludzkim istnieniu (takimi są choćby prawda o wcieleniu Boga, o śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa). Świętowanie chce im podołać, chce ich niezwykłą treść wpisać w krajobraz codziennego bytowania ludzkiego. Czas świętowania nie jest lekki, bo też gęste i niecodzienne są treści, wokół których się skupia. Do świętowania trzeba dojrzewać, dorastać do wyzwań, które nieustannie nas przerastają. Czy *homo ludens* (człowiek zabawy) czasów obecnych jest zdolny nieść na swojej karnawałowej egzystencji czas święta?

KAIROS, 15/2017

Trzask pękającego nieba

Tytuł tej refleksji zapożyczyłem z homilii ks. Józefa Tischnera, wygłoszonej w okresie Bożego Narodzenia (w 1988 roku). Tak Bóg umiłował świat... . Jest to czas wydarzającej się miłości. Przychodzi ona na świat z Nieba, z góry, gdzieś spoza nas, ale idzie ku nam, ryzykując i narażając się na niezrozumienie, kpinę, obojętność, głupotę, prostactwo, wszelki brud, jaki z człowieka może się wylać. Nie ma nic bardziej bezbronnego, niż miłość, ale też nic bardziej odważnego, bezinteresownego. Idzie ona nie kalkulując, nie przeliczając, opłaci się, czy nie... idzie najdalej, jak tylko może, w pewnym sensie idzie za daleko. Pytanie, czy warto, będzie zdecydowanie nie na miejscu. A. Słonimski z ogromnym wyczuciem pisał: „Zmęczona Osoba (Jezusa) leżała na kanapce i ja przysiadłem się na brzeżku i zapytałem go po cichu: - Powiedz pan mi tylko jedno, pod hajrem, ja nikomu nie powtórzę: Czy warto wtedy było się dać tak męczyć z powodu ludzkość, gdy pan pierwszy raz zawitał na tak zwany padół? – To on się spojrzał na mnie dużymi smutnymi oczami i powiedział po hebrajsku: - Kto mówi warto? Wypluj pan to słowo”.

Wydarzenie miłości sprawia, że niebo pęka z trzaskiem, odsłaniając przed człowiekiem (i przed ziemią) nieoczekiwane horyzonty. Bóg staje się człowiekiem, aby człowieka podnieść na wyżyny niebotyczne. Rodzą się dzisiaj pytania: czy człowiek dostaje zawrotu głowy, pochylając się nad Tajemnicą Wcielenia? Czy zdaje sobie sprawę z tego, Kim jest w perspektywie tej Tajemnicy? A jest przecież kimś więcej, niż w swoich najśmielszych marzeniach mógłby się sobie samemu wydawać. Czy ludzkie serce drży w swoich posadach i pęka, otwierając się na poryw miłości, co silniejsza jest niżeli śmierć?

W epoce, w której nam żyć przyszło, coraz częściej spotykamy się z uproszczonymi, zdewastowanymi obrazami człowieka. Sprowadza się go do tego, ile jest zdolny wyprodukować, na jakim poziomie konsumować, wtrąca się go w obłądne koło idiotyzmu konsumpcyjnego. Człowiek liczy się o tyle, o ile ma (posiada – a raczej jest posiadany przez rozliczne, skazane na zniszczenie dobra), a nie dlatego, że jest Kimś (jedyną, niepowtarzalną osobą, chcianą i miłowaną przez Boga dla niego samego).

Wymiar pragmatyczny zdaje się być jedynym, w perspektywie którego toczy się współczesny dyskurs o człowieku. Przypomina mi się w tym miejscu komiczna, ale przecież w swojej wymowie przerażająca interpretacja przypowieści ewangelicznej o synu marnotrawnym, dokonana na katechezie przez katechetkę holenderską: jakież to morał z tej „opowiastki” się wytania? – pytała grono katechizowanych dzieci. Ano taki – odpowiedziała - iż należy, kierując się mądrością życiową, oszczędzać pieniądze, odkładając je systematycznie na konto, aby w chwilach wyjątkowych potrzeb (kiedy będzie trudno) móc się zaoszczędzonym kapitałem poratować. Za Norwidem zawołać trzeba: „jękły – głuche kamienie; Ideał – sięgnął bruku”.

Czy z chrześcijańskiej Dobrej Nowiny o radykalnym wyzwoleniu i spełnieniu człowieka pozostało kilka praktycznych porad o radzeniu sobie w świecie pustego egoizmu zbudowanego na kontaktach bankowych i przepływie kapitału? A może to ziemia, która zamknęła się na trzask pękającego pod naporem Miłości nieba, rodzi upiory, zamiast ludzi? Pisał wybitny teolog XX wieku H. de Lubac: „Nie jest prawdą, że człowiek, jak to niektórzy zdają się mówić, nie może

urządzić ziemi bez Boga. Prawda jest taka, że bez Boga może on tylko, koniec końców urządzić ją przeciw człowiekowi”.

Jak pisze R. M. Rilke: „Bóg jest Tym, który stale idzie dalej” W czas Bożego Narodzenia pozwólmy się poprowadzić Bogu dalej, poza świat obłędu i absurdów, pustki komercyjnej, kalkulacji i bezmyślnej konsumpcji – ku wydarzającej się i wyzwalającej Miłości.

KAIROS, 15/2017

I cóż z „kolędy”?

Czas świąteczny i poświąteczny Bożego Narodzenia przeżywany jest w Polsce w tonacji tzw. „wizyty duszpasterskiej”. Duszpasterze odwiedzają swoich parafian, chcą ogarnąć modlitwą domy, wielkie i małe sprawy powierzonych sobie wyznawców Chrystusa. Jedni podejmują ich z radością, inni jako zło nagłe i niespodziewane, wyłaniające się z wnętrza kościelnego obyczaju, jeszcze inni z iście stoicką cierpliwością, trochę obojętnością. Wszystkie te reakcje są poniekąd zrozumiałe i usprawiedliwione. Nie interesuje nas teraz kwestia, czy w takiej formie „kolęda” jest do przyjęcia, czy do zmiany (w jakim stopniu)? Chodzi o coś radykalnie innego: co ksiądz przemierzający szlaki swojej parafii, zaglądnący do domów, spotykający się z mnóstwem spraw i problemów parafian, może z „kolędy” (poza gratyfikacją pieniężną – podkreślam jej incydentalny charakter) wynieść, czym ubogacić swoje doświadczenia (jeśli jest do tego zdolny)?

Wracam z „kolędy”, niosąc w sobie jakiś ogromny ból, niezgodę na to, co stało się moim doświadczeniem. Przywołuję na pamięć ogrom cierpienia, które odstoniło się moim oczom, wyobraźni, podczas tych odwiedzin. Wiem, że dopóki człowiek nie wyjdzie poza próg własnego domu, własnego świata, pojęcia nie ma, jak bardzo inni ludzie zmagają się z otchłannością bólu, samotności, niespełnionych oczekiwań, zamierzeń. To doświadczenie jest chyba najbogatszym moim pokłosiem kolędy. Pytam z oburzeniem Boga: dlaczego pozwalasz, by najlepsi odchodzili spośród nas, dlaczego skazujesz ich na taką nieusprawiedliwioną niczym katorgę ducha i ciała? Odpowiedzi nie otrzymuję, ale trwam w pytaniu, wypatrując jak Zacheusz przechodzącego Pana, by Go zaprosić na spotkanie – pytanie, które może jakąś cząstkę prawdy mogłoby mi odstonić, wyjaśnić. Mam wrażenie, że wiara moja jest po tych „kolędowych” doświadczeniach zmęczona, okaleczona. Przywołuję wtedy tekst T. Halika, czeskiego księdza: „Czy ten, który skrywa wielkie rzeczy w małych, a w słabych objawia swoją siłę, jest także jakoś obecny w wierze tych, których wyznaniem jest jedynie szukanie, nienasycony głód prawdy i sensu oraz nieustanne stawianie pytań? W wierze Zacheuszów, którzy wciąż jeszcze trwają w swoim ukryciu i tylko wypatrują nieśmiało? W wierze, która ma jedynie kształt niewyartykułowanej tęsknoty? W wierze, w której jest więcej chwiejności niż zadufania, więcej pytań niż odpowiedzi, więcej wątpliwości niż pewników. Także w wierze, która jest już zmęczona, wciąż w drodze - a celu nie widać?”

Po spotkaniach z cierpiącymi wiara może zostać wystawiona na próbę, może stać się wiarą pytającą, szukającą, niespokojną, wyzbytą pewności i zadufania. I tak chyba jest dobrze. Chyba dopiero w ogniu takich doświadczeń potężnieje płomień wiary, w zderzeniu z cierpieniem, z jego ogromem, ale i z ludźmi, którzy swoją postawą potrafią rozpalić tłący się płomyk zmęczonej wiary.

Rozpalają go często parafianie! Jak cierpliwie, z jakąś maestrią, wirtuozerią (celowo używam tych słów!) potrafią pochylić się nad cierpiącymi, swoimi bliskimi (a nie tylko), otaczając ich pełną troski opieką!

Spotykam ludzi cichych, pogodzonych ze swoim losem, skromnych, co to nie sądzą chorobliwie, że cały świat potrafią zawojować, że wszystko do nich należy, że wszyscy powinni wokół nich tańczyć. Wtedy przypomina mi się wiersz, już nie wiem czyjego autorstwa, o zwyczajnej

sprzedawczynie kasztanów (tak mało ważnej z punktu widzenia historii ludzkiej, tak pięknej dobrocią serca i wiernością swojemu miejscu i swojemu zajęciu):

I będzie siedziała
po prawicy Ojca, i nie
będzie śniegu
Ani zmęczonej szarugi
prosto w twarz
I będzie siedziała w swych
dziurawych spódnicach
z ubogim ruchem
Wewnętrznej słodyczy, tam, na
Swoim miejscu.

Dla takich właśnie Bóg przygotował to, „czego oko nie widziało, ani ucho nie słyszało”, bo poprzez ich bezpretensjonalne i wytrwałe w swojej cichości życie, promienieje boskość, bo to oni już tutaj uobecniają Królestwo Boże.

Wreszcie z ogromnym wzruszeniem przywołuję na pamięć dzieci, ale i starszych, z różnym stopniem upośledzenia, niepełnosprawności. Jakże chciałoby się móc ich uwolnić od tego straszliwego brzemienia, zdjęć krzyż zdawałoby się ponad miarę. Dokonać cudu... Tak boli bezsilność. I znowu ze zdziwieniem i podziwem wpatruję się w miłość i troskę i cierpliwość tych, którzy roztaczają nad nimi opiekę, rodziców, krewnych, bliskich. I znowu bliższy, na dotknięcie ręki, jest cierpiący Chrystus, którzy w nich i z nimi dźwiga krzyż przytłaczającego cierpienia. Przypomina się wiersz ks. Twardowskiego *Do moich uczniów*:

Uczniowie moi, uczennice drogie
Ze szkół dla umysłowo niedorozwiniętych,
(...)
Janku bez nogi prawej, z duszą pod rzęsami –
garbusku i jąkało – osowiały, niemy –
Zosiu, coś wcześniej zmarła, aby nóżki krzywe –
szybko okryć żałobnym cieniem chryzantemy
(...)
Czekam na was, najdrożsi, z każdą pierwszą gwiazdką –
z niebem betlejemskim, co w pudełkach świeci –
z barankiem wielkanocnym – bez was świece gasną –
i nie ma życ dla kogo.

Takie to bogactwo doświadczeń przynoszę z „kolędy”. Ogromem pytań i myśli rozkwita ono poprzez kolejne dni przesuwającego się czasu. Nie zamieniłby tych klejnotów na żadne inne.

W Wielki Post wchodząc

Wraz ze Środą Popielcową zaczynające się dni pokuty, postem wielkim zwane, są wyjątkowe, niezwykłe, równowagi potocznej pozbawione. Co wyjątkowego zatem jest w nich, skoro wszystko toczy się wraz z ich czasem upływającym, rytmem znajomym, utrwalonym zwyczajnymi poczynaniami ludzkimi, rutyną codzienności naznaczonym? Tak spokojnie i bezceremonialnie banał życia ludzkiego opisanym zostaje: „Ludzie na ulicy spieszą w swoich interesach, z teczkami pod pachą, z tornistrami i siatkami na zakupy, pędzą, mijając kościół, który jak martwy mur wyróżnia się z szeregu kolorowych sklepowych wystaw. O Nim nie myśli nikt. Bo teraz nikt Go nie potrzebuje. Słychać gdzieś stukot maszyny do pisania, dymią kominy fabryk, uczniowie biedzą się nad zadaniem z matematyki, gospodynie domowe robią w domach pranie: wszystko idzie swym utartym trybem, w zamkniętym obiegu, w którym dla Niego nie ma miejsca”.

Ale oto głoszony jest, jak prowokacja, jak skandal, jak niepokoienie wielkie post wielki. I po co? Że ludzie ceremonie wszelakie lubią? Że życie ich ujęte zostaje w jakiś z góry wyznaczony porządek? Że wpisani zostają w wielki plan Niebieskiego Reżysera, który wciąż odślania przed nimi kolejne swoje zamysły: a toż narodzenie Boże, a toż czas pokuty i umartwienia, a to wreszcie dni boju ciężkiego, uwieńczone ostatecznym zwycięstwem nad mocami chaosu, zniszczenia i rozkładu, tym razem Zmartwychwstaniem nazwane? A post wielki znaczy jedno z tych starannie wyznaczonych ogniw wielkiego łańcucha sensu. Czy tak?

Może jest całkiem inaczej? Może chciałby nas wyrwać czas ten szczególny z narkotycznego snu, jaki aplikujemy sobie gwoli „świętego spokoju” uciekając w miarę bezpieczne życie na dobrach tymczasowych budowane i w nie wplecione? Może chciałby nasz zahipnotyzowany wzrok oderwać raz jeden (na moment) od blichtru towarów kuszących nas w wielkich „ogłupiaczach” (hiper-marketami zwanych) i mass – mediów, które nie są na naszą miarę (bo na miarę kogokolwiek żywego są?).

Chyba nie obejdzie się bez tekstu Pascala, który w XVII wieku, na wskroś wglądając w ludzkie serce, tak głębokie i tak lęku pełne, bezdenne i płytkie jednocześnie, wmyślając się genialną swoją intuicją w ewangeliczny zapis, ostatnie dni Chrystusa ogarniający, prowokująco pisał: „Jezus w swej męce cierpi udręczenia, jakie zadają mu ludzie, lecz przedtem – udręczenia, jakie zadaje sam sobie: *turbare semetipsum...*”

Jezus szuka jakiejś pociechy bodaj u swoich trzech najdroższych przyjaciół, a oni śpią...

Jezus jest jedyny na ziemi, nie tylko ten, który odczuwa i podziela jej mękę, ale który ją zna...”. Co zatem z tych fraz przytoczonych wyłania się znacząc trop postu wielkiego? Ano to choćby, że Bóg sam sprzymierzył się ze mną w tym, co jest we mnie stałą możliwością, (jeśli nie rzeczywistością dojmującą i nie do zniesienia), zarazem najgłębszym pokładem mojego istnienia – cierpieniem właśnie, moją bezbronnością, moim lękiem. Wszedł w moje cierpienie i nim się stał. Gdzież Go znaleźć można najpewniej, jak nie w udręczeniu moim, samotności i bólu?

Ale sięgamy po tekst genialnego Pascala dalej: „Jezus będzie konał aż do skończenia świata: nie trzeba spać przez ten czas...”

Jezus cierpi męki i najsrozsze udręczenia, módlmy się tedy dłużej...

Myślałem o tobie w moim konaniu; wylewałem krople krwi dla ciebie...

Jestem ci więcej przyjacielem niż ten lub ów; uczyniłem dla ciebie więcej niż oni; oni nie wycierpieliby tego, co ja wycierpiałem od ciebie, i nie umarliby dla ciebie w dobie twoich niewierności i okrucieństw, jak ja uczyniłem...”

Pytamy zatem: czy jest większy kochanek niż ten Chrystus, którego oto spotkać mogę tam, gdzie mnie przywiedzie nieuchronnie kondycja moja, tak efemeryczna i tak zjawiskowa? I wiem, że tam czeka na mnie w mojej wielkości i moim wyczerpaniu i bezbronny cierpieniu Ten, który dopełnił miary moich pragnień i tęsknot. Czas postu wielkiego szukać każe Tego, który bardziej jest niż wszystkie pewniki świata tego. Ale jeszcze czymś więcej...

W czasie, w którym króluje kultura, nazywana przez profesora L. Kołakowskiego, kulturą analgetyków, rzeczywistość cierpienia nie cieszy się najlepszą passą. Pisze autor *Obecności mitu*: „Do ważnych, choć mało zwracających uwagi jakości naszej cywilizacji, należy całkowity odwrót od wiary w wartość cierpienia. Że cierpienie jest lub bywa źródłem wartości – przekonanie to jest obecne w większości znanych nam kultur pierwotnych i dochodzi do głosu w zjawisku tak powszechnym jak surowość czy nawet okrucieństwo obrzędów inicjacyjnych”.

Ale przecie my cierpienia nie chcemy wynosić na piedestał boskości, nie chcemy czynić z niego wszechobecnego bóstwa. Chcemy jedynie wskazać, że w nim i poprzez nie otwiera się droga dokądś. Nie wiemy, jeszcze dokąd, ale... Przytoczmy tekst myśliciela, który zniszczyć chciał wszelkie więzi łączące go z chrześcijaństwem, ale czy do końca?... Oto F. Nietzsche, cierpiący nad miarę, z bólem oswojony: „Dopiero wielkie cierpienie, owo długie, powolne cierpienie, które potrzebuje czasu, w którym spalamy się niejako wraz z zielonymi gałęziami, zmusza nas filozofów, do zstąpienia w naszą ostateczną głębię i do odrzucenia od siebie wszelkiej ufności, wszelkiej dobroduszości, zaślón, łagodności, przeciętności, w czym wcześniej ulokowaliśmy może nasze człowieczeństwo. Wątpię, by taki ból ‘ulepszał’ - lecz wiem, że on nas czyni głębszymi”. Wiemy jedno: cierpienie wiedzie nas w głąb. Ale czego? Kogo? I czy warto brać pod uwagę jego wołanie?

Zbliża się czas szczególny. On stawia nas przed wyborem nie takim sobie, byle jakim, głupim i kolejnym, powtarzalnym w nieskończoność! Jesteś zdolny stawić czoło swojemu niepowtarzalnemu człowieczeństwu? Jeśli nie, co z ciebie zostanie? Posłużmy się tekstem C. K. Norwida na koniec tej refleksji:

Coraz to z ciebie jako z drzazgi smolnej
Wokoło lecą snopy zapalone
Gorejąc nie wiesz, czy stawasz się wolny,
Czy to co twoje ma być zatracone.
Czy popiół zostanie, czy zamęt,
Co idzie z burzą w przepaść,
czy zostanie na dnie popiołu
Gwiazdzisty diament,
Wiekuięstwa zwycięstwa zaranie?

Kobiet pochwała

Dziwnie ten rozpisany zachwyt kobiecością rozpocznę (a to z okazji zbliżającego się dnia pamięci kobietom szczególnie poświęconego – jakby mężczyzna jaki z pamięci swojej się ich wyzbył choćby na chwil kilka – ciągle przecie one mu pamięć uwierają i prowokują!): oto nieszczęśliwy Gustaw z *Dziadów* części IV wybuchu gniewem, myśląc o przewrotności kobiety i boleśnie nią doświadczony:

Kobieto! Puchu marny! Ty wietrzna istoto!
Postaci twojej zazdroszą anieli,
A duszę gorszą masz, gorszą niżeli!...

Drzę cały z Gustawem mickiewiczowskim wchodząc w koleje jego losu nieszczęsnego, zgotowanego mu przez kobietę. A ja chcę kobiety pochwałę głosić. Zatem pytam pełen niepokoju targającego duszę moją, świętem kobiet straszliwie poruszoną: diabelskie czy boskie są to istoty, te kobiece? I tu mi ojciec filozofii europejskiej Arystoteles podpowiada, iż kobieta to tylko niepełnosprawny mężczyzna, nie do końca urzeczywistniony samiec. O zgrozo, jego dość wierny uczeń, ale już chrześcijanin przecież, bo sam Tomasz z Akwinu, poglądem mnie straszliwym wali po głowie, że kobieta jest mężczyzną niewydarzonym, stworzeniem o wartości nieporównanie niższej niż mężczyzna, a przy jej poczęciu niepomyślnie wiały wiatry południowo – zachodnie. A ile złorzeczeń ze strony pana i władcy rodu ludzkiego (czyli mężczyzny) słyszę: kobieta rzecz potępiona, duszy mężczyzny szkodna, mięsem śmiertelnym cała. Kieruje się przecie raczej emocjami niż logiką, namiętnościami, które jej rdzeniem najgłębszym targają. Bystra zbyt nie jest, skłonna do irracjonalnych ekscesów, rojeń bezpodstawnych i marzeń nieokiełznanych. To mężczyzna jest aktywny i niezależny, kobieta zaś bierna i zależna. Mężczyzna rozum ma za przewodnika, jemu się poddaje, dlatego jest przewidywalny, systematyczny, uładowany. I wiele jeszcze o kobietach kalumni głoszono, że czarownice, diabła samego straż przednia. Mamże wierzyć tym bredniom wierutnym, tym epokowo, historycznie uwarunkowanym opiniom bezpodstawnym?

Wiem przecie, że kobieta wrażliwością większą niepomiernie dysponuje niż mężczyzna, dogłębniejszym oglądem świata, z którego widzi więcej niż analityczny, suchy umysł pana i władcy. Dobrocią serca się kieruje a nie przebiegłością kalkulacji rozumowej, zwrócona jest ku drugiemu, w którym zawsze dobro zobaczyć potrafi, wczuć się w świat innego łatwiej jej przychodzi aniżeli egocentrycznie nastawionemu mężczyźnie, jest pełna empatii. Osobami zainteresowana bardziej niż rzeczami, zdolna do poświęceń wielorakich dla bliźnich bez sięgania po arytmetyczne obliczenia. Więcej rozumie, choć wiedzieć może mniej, niż męski odpowiednik rodzaju ludzkiego.

A od strony zmysłu wzroku, estetyki, wyglądu? Popatrz na jedno i drugie! Oto kobieta to istota o kształtach łagodniejszych i okrągłych i bardziej jeszcze symetrycznych niżeli mężczyzna. Zaś ten o członkach kanciastych, asymetrycznych, jakby przystosowanych do roli zmagającego się ze światem narzędzia, toporny, z gruba ciosany.

Azali kobieta szlachetniejszą jest rodu ludzkiego przedstawicielką niżeli mężczyzna, którego osiągnięcia niezbywalnie jawią się w swojej potędze nieusuwalnej na nieboskłonie ludzkości? Już odpowiadam! Ona inaczej zgoła jest (ani gorzej ani lepiej) aniżeli rodzaj męski. Inne są jej

walory, inny sposób oglądu i rozumienia świata. Bez niej istnienie smaku by nie miało, bez niej mężczyzna kroku ani by nie zrobił, do niczego zdolny by się nie widział. Kobieta inna jest, trzeba dodać, pełna tajemnicy niezgłębionej, choć przyznać wypada, wielce niepokojącej (tym bardziej inspirującej literaturę, poezję, muzykę i co tam jeszcze!). A że płęć słaba, zbyt często przesładowana bywała. Pisał też Jan Paweł II w *Liście do kobiet*: „Jesteśmy, niestety, spadkobiercami dziejów pełnych uwarunkowań, które we wszystkich czasach i na każdej szerokości geograficznej utrudniały życiową drogę kobiety, zapoznanej w swej godności, pomijanej i niedocenianej, nierzadko spychanej na margines a wreszcie sprowadzanej do roli niewolnicy”. Jak na patriarchę rodu męskiego słowa pełne rewolucyjnego patosu, niezwykle, pokorne. A oto świadectwo inne, przeciwstawne do przytoczonego wyżej, spod ręki gniewnego Lutra wyszłe: „Choć ród kobiecy wstydzi się do tego przyznać, to jednak Pismo Święte i doświadczenie pokazują, że spośród wielu tysięcy nie ma ani jednej, której Bóg pozwolił pozostać w bezgrzesznej czystości. Kobieta nie ma nad sobą żadnej kontroli”. Z plemienia germańskiego takie oto sekсистowskie trucizny świat ujrzały. Skoro samym grzechem i skażeniem jest kobieta, to ją ów Herkules Germanii do jednej czynności zdążyć widzi: ma być maszyną do rodzenia dzieci. Jakoż zakrzyknie: „Niech rodzą dzieci do śmierci”.

Czy dziwić się przeto należy, że tak deprecjonowana, oczerniana płęć słaba zapragnęła być jako sam pan i władca rodu ludzkiego? To jego atrybuty, jego męskie ego zaczęły jej imponować, ją zachwycać. Wkroczyła oto w ten sposób na męskie bezdroże realizacji siebie. Znów przywołam trzeźwe słowa wielkiego miłośnika kobiet, Jana Pawła: „W imię wyzwania się od ‘panowania’ mężczyzny, kobieta nie może dążyć do tego, by wbrew swej kobiecej oryginalności – przyswajając sobie męskie atrybuty. Zachodzi uzasadniona obawa, że na tej drodze kobieta nie spełni siebie, może natomiast zatracić i wypaczyć to, co stanowi o jej istotnym bogactwie. A jest to bogactwo ogromne. Idzie zatem o wydobywanie i podkreślenie w kulturze wielkiego bogactwa elementu kobiecego, tak samo ważnego jak element męski”.

Wołać głosem stentorowym należy zatem, by kobieta kobietą pozostała, lub zwracać się do męskiej części ludzkości słowami Nietzschego: nie odzierajcie kobiety z jej tajemnicy! Na koniec sam sięgnę po ulubionego mojego Kornela Makuszyńskiego, który gdzieś w swojej twórczości przebogatej opisuje, jak w jednym teatrze warszawskim komedię chuderławą węgierską grano, a tam scena taka: na piekielnym rożnie pieką szatany nowoczesną pannę. Diabli rożen obracają, śmieją się szyderczo i syczą: „za to, że udajesz mężczyznę, że siedzisz na własnym dekolcie, że golisz koniak i smolisz papierosy, żeś się pozbyła czaru kobiecości... że nie chcesz mieć dzieci tylko linię... że całemu światu pokazujesz to, co tylko mama widziała, kąpiąc cię w wanience... że z miłości uczyniłaś igraszkę, a z życia dancing o Panno”.

Panie drogie, tak bliskie sercu mojemu, iżby żadna z Was na rożen ów diabelski nie trafiła i przypiekana za zatracenie czaru kobiecości nie była. Tego życzę Wam, a sobie, bym czarem tym cieszyć mógł się po wieczne czasy. Amen.

Samotność Chrystusa – samotność człowieka

Są różne samotności. Są takie, których się szuka, zmęczonym bywając towarzystwem ludzi, ich nieustanną obecnością nachalną i pustą zarazem. Konrad z trzeciej części *Dziadów* improvizację swoją wielką zaczyna od przywołania samotności, która dystansuje od ludzi niezdolnych do towarzyszenia wlotom jego myśli: „Samotność – cóż po ludziach, czy-m śpiewak dla ludzi? Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha...”. Wówczas ucieczka od istot ludzkich w ciszę samotni wydaje się spełnieniem najgłębszych marzeń, wówczas samotność wybranym bywa koniecznym i dojmującym sposobem bycia.

Są samotności bolesne, przez los narzucone, kiedy to człowiek tak bardzo pragnie obecności drogiej, ukochanej istoty ludzkiej, która odeszła, nie wróci (umarła, porzuciła, zdradziła), zaś pustki po niej powstałej nie jest w stanie wypełnić nic. Jest też samotność niezbędna dla zachowania higieny duchowej, zebrania się w sobie, ciszy, pozostania ze sobą sam na sam, by siebie scalić, poskładać. To samotność dobra, której zaznanie może człowieka ubogacić. O lęku współczesnego człowieka przed taką samotnością pisał L. Kołakowski w *Obecności mitu*: „Uciekamy od samotności – jednakże nie tak, by przewycięzać samotność dzięki wysiłkowi wzbogacającej obustronnie komunikacji z drugim, dzięki wspólnocie wartości; stajemy się niezdolni do znoszenia samotności w jakiegokolwiek postaci, nosimy radia tranzystorowe w kieszeni, by nie dać się zaskoczyć jednej chwili pozbawionej towarzystwa; każda przerwa w procesie wzajemnej afirmacji w obcowaniu z innymi wydaje się nam groźna”.

Bywa też otchłannie głęboka samotność twórcy, artysty, który zmagą się z oporną materią, dobywając z niej na światło dzienne dzieło, budzące powszechny zachwyt. Ktoś przenikliwie zauważył, iż dzieła niezwykłe są owocem samotności i nocy.

Pozostaje zapytać teraz, czy przypadkiem nie jest człowiek na samotność nieprzewycięzalną, najgłębszą, w rdzeniu istoty swojej skazany, zaś wszelkie próby jej przewyciężenia są tylko bezcelową szamotaniną i nieustannym łudzeniem się? Na wskroś pesymistyczny Schopenhauer, zapewne mając na względzie ludzi, opisuje plastycznie zachowanie się grupy jeżozwierzy: „Pewna grupa jeżozwierzy skupiła się w zimowy dzień możliwie blisko siebie, aby wzajemnym ciepłem uchronić się przed zamrożeniem. Wkrótce jednak odczuły nawzajem swe igły, co je znowu od siebie oddaliło. Kiedy potrzeba ogrzania zbliżyła je znowu, powtórzyło się to drugie zło, tak że szarpało je między sobą jedno i drugie cierpienie, póki nie znalazły umiarkowanej odległości, w której najlepiej mogły znieść jedno i drugie”. Oto opis przedziwnej strategii zbliżania się i dystansu, którą istoty ludzkie nieustannie się posiłkują, nie przekraczając jednak granic swojej samotności, a raczej ciągle je potwierdzając i na nowo ustanawiając. Jeszcze boleśniej i radykalniej niemożliwość przewyciężenia samotności postrzega rumuński pisarz i myśliciel E. Cioran: „Každy człowiek pozostaje sam na sam ze swoim cierpieniem, które uważa za absolutne i nieograniczone. Z definicji jesteśmy dla siebie nieprzenikalni, społeczeństwo, a także wszystkie zbiorowości, również tak elementarne jak rodzina, to zbiory manekinów wprawianych siłą bezwładu w pozorny ruch, który jest jedynie machinalnym trwaniem. Nie mogę zrozumieć cierpienia drugiego człowieka, aby poprzez nie zmniejszyć własne. Porównania w tym względzie nie mają żadnego sensu, jako że cierpienie to stan wewnętrznej samotności, w którym nie może pomóc nic z zewnątrz”. Zatrwożeni pytamy: nie ma zatem

żadnej siły, która mogłaby rozerwać kajdany samotności, zbliżyć nas do siebie, dać poczucie rzeczywistej, kojącej obecności drugiego człowieka? Czy tylko udajemy bliskość, czy tylko gramy zbliżanie się do siebie, tak naprawdę niczego nie osiągając, nie przenikając siebie nawzajem? Nie jestże taką siłą nawet miłość? Jakoż wydaje się, że nawet ona jest tylko panicznym i powierzchownym kontaktem z odmiennością innego człowieka, próbą szukania ratunku, ale bezowocną. Ktoś napisze: „Miłość bowiem jedynie na krótki czas neutralizuje samotność. Kontakt dwóch naskórków po orgazmie pozostaje tylko kontaktem dwóch egoizmów odgrodzonych od siebie nieprzenikalną szklaną ścianą...”.

Przywołujemy w wielkim poście na myśl różne samotności Chrystusa. Samotność kuszenia na pustyni, samotność modlitw – rozmów z Ojcem (kiedy oddalał się od ludzi), samotność Ogrodu Oliwnego, wreszcie samotność konania na krzyżu, wykrzyczana z taką boleścią i udręczeniem: Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił? Wiemy przecież z jednej strony, iż samotnym nie był, pozostając w komunii głębokiej ze swoim Ojcem. Ale z drugiej strony jak bardzo niezrozumiały w swoich działaniach, z jaką bezdusnością postrzegany nawet przez najbliższych: odchodzą, uciekają w momentach kluczowych, zdradzają, spierają się o sprawy drugorzędne.

Zaś On – Bóg – człowiek jednego chce: tak wkroczyć w ludzkie bolesne światy, by tam zbliżyć się i napełnić swoją obecnością pustkę człowieka. By człowiek nawet w najgłębszej otchłani swojej samotności: otchłani umierania, opuszczenia, odtrącenia i grzechu nawet, mógł poczuć ciepłą dłoń Boga. Jak byś nisko nie stoczył się w swoim nieszczęściu, Chrystus jest jeszcze niżej. Upadając, zawsze wpadniesz w ręce Boga.

Nie idzie się jednak w otchłanie ludzkiej samotności bezboleśnie. Trzeba doświadczyć najpierw bezbrzeżnego chaosu ludzkiego egoizmu, niezrozumienia, kującej bezdusności. Czyż nie stały się udziałem Chrystusa te wszystkie doświadczenia? Ludzie nie oszczędzili Mu niczego. Urodził się poza miastem, niezauważony, i poza miastem umarł, znieawidzony i wyśmiany. Ale miłością, której nic nie zdołało zabić, przebijał się w głąb biedy ludzkiej. Do takiego Boga zwraca się B. Leśmian w swoim wierszu [*Boże, pełen w niebie chwaty*]:

Wiem, że w moich klęsk czeluści
Moc mnie Twoja nie opuści!
Czyli razem trwamy dzielnie,
Czy też każdy z nas oddzielnie.

Mów, co czynisz w tej godzinie,
Kiedy dusza moja ginie?
Czy łzę ronisz potajemną,
Czy też giniesz razem ze mną?

Wybłysk miłosierdzia

Czego potrzebuje człowiek? Z całą pewnością tego nasamprzód, co zaspokoi jego podstawowe biologiczne wymogi: pożywienia, snu, zaspokojeń seksualnych, zatem namacalnej bliskości drugiego człowieka, tego wszystkiego, co dyktatowi instynktu samozachowawczego i instynktowi zachowania gatunku jest poddane. Wiele jeszcze innych rzeczy człowiek potrzebuje, zaś owe tablice potrzeb układają się znowu wedle logiki dyktatu danego czasu. Jakoż powiadają, że w dniu dzisiejszym, żyć można bez Boga na ten przykład, ale bez pieniędzy żyć nie można. Jakby z tego samego wymiaru rzeczywistości te były, jakby możliwe do zastąpienia jedna drugą. Zresztą już od czasu jakiegoś i Bóg i mamona zlewają się w percepcji ludzkiej w jedną rzeczywistość. Za sprawą niebagatelną Kościoła również! Pytamy zatem raz jeszcze mocno zaniepokojeni: czego potrzebuje człowiek, aby wybrzmiało w nim całe bogactwo jego bytu?

Sięgamy po precyzyjne analizy M. Schelera, znakomitego niemieckiego myśliciela, który konsekwentnie odślania trzy wymiary decydujące przestrzeni ludzkiego bytowania: najpierw jako fundament odślania się przemożna władza krwi, potem siły, wreszcie ekonomii. Przecie więzy krwi cementowały ludzkie jeszcze małe wspólnoty przed powstaniem narodów i państw. W pochodzie rodzaju ludzkiego ku przyszłości, tam gdzie środki produkcji uległy zmianie niewielkiej, wszystko zależało na kolejnym etapie od polityki. To siła decydowała o tym, kto mógł dyktować korzystne dla siebie warunki, poddając sobie słabszych. Kroniki pisał miecz, zaś bohaterami *par excellence* byli wodzowie, zdobywcy, ludzie fizycznym wigorem naznaczeni. Zaś dalej idąc w dzieje rodzaju ludzkiego, na uwadze mając potęgujące się możliwości technologiczne i technokratyczne przemysłowości ludzkiej, względy ekonomiczne zyskują przewagę decydującą o wszystkim.

Krew, siła, ekonomia – czy ogarniają bez reszty bogactwo istoty ludzkiej? A może nic więcej w człowieku nie ma? Może człowiek to wyrafinowane zwierzę, napędzane doraźnymi potrzebami, reagujące jedynie na wyzwania środowiska, w którym żyć mu przychodzi? Pokusa taka istnieje nie od dziś, by rzeczywistość człowieka zubożyć, pozbawić wymiaru szerszego, porównajęcego dalej. Stąd nieustanne kwestionowanie, podważanie ewangelicznej z ducha wizji człowieka, który sobą sięga poza fizjologiczne, biologiczne czy nawet psycho – kulturowe sposoby zaspokojeń swojego wiecznie niespokojnego ducha. Dąży dalej, wciąż czegoś nowego szukając, bez możliwości zakorzenienia się tu i teraz. I tak przypomina nam A. de Saint Exupery: „Człowiek nie jest tucznym bydlęciem i miłość jest dla niego ważniejsza niż pożytek. Nie może kochać domu, który nie ma swego oblicza i gdzie kroki nie znajdują swojego kierunku i celu”. I dalej: „Odkryliśmy, że życie tylko wtedy ma sens, kiedy się je przemienia po trochu w coś, co jest poza nami”. Przypomina nam francuski lotnik i myśliciel, że ludzka istota pojemniejsza jest, niż zawężone próby jej postrzegania i ujmowania. Dlatego też z jej wnętrza wyłania się pragnienie takiej Rzeczywistości, która uczyni zadość owemu bogactwu wpisanemu w istotę ludzką.

Podejmowane są nieustannie próby zbyt ubożego, zbyt zawężonego pojmowania człowieka. Można mówić o nieznośnej ekonomizacji istoty ludzkiej: wydajne produkowanie, efektywne konsumowanie. Nieustanne przeliczanie i kalkulowanie. Należałoby postawić zasadne

pytanie: czy rzeczywiście każdy kęs pożywienia przeliczać należy na kalorie? Czy spełnienie dobrego uczynku zawsze musi mieć przełożenie na mamonę (ile mnie to będzie kosztować, czy się opłaci)? Czy konsekwentnie niedługo nie będziemy przeliczać każdego ciepłego, czule wypowiedzianego słowa na ilość zużytej energii? Co gorsza, na miarę tak oplecionego siatką liczb widma ludzkiego, preparuje się też Boga ekonomicznego, to jest takiego, który prowadzi dokładny rejestr naszych grzechów, żądając jako zadośćuczynienia stosownej liczby modlitw czy określonych kultowych działań. Pięknie i gniewnie pisał J. Pasierb w *Czasie otwartym*, iż musi umrzeć bóstwo złej teologii, ów żandarm świata, małostkowy księgowy, zajęty tylko prowadzeniem rejestru naszych win, mściwy upiór, który wchłonął w siebie wszystko, co było najbardziej posępnego i zatrważającego w bóstwach pogańskich. Pisze dalej Pasierb, że o zgrozo, są jeszcze dziś katolickie domy, gdzie nie można się zaśmiać w piątek, bo w niedzielę przyjdzie za karę smutek, są ciągle chrześcijanie, którzy uważają na to, by się nie zdradzić ze swoim ludzkim szczęściem, bo może ono sprowokować zazdrość i gniew potwornego bóstwa. Konkluduje myśliciel: jakże trwałe są takie mity, zwłaszcza jeśli rosły wraz z nami, jeśli razem z nami wyszły z dzieciństwa i jak wampiry karmiły się krwią naszego serca.

Czy zatem nie jest dla człowieka otwarciem nowej, zawrotnej perspektywy głoszenie Dobrej Nowiny o Bogu Miłosiernym, który z pietyzmem pochyla się nad istotą ludzką, aby wyzwolić całe bogactwo jej bytu, by je podnieść, przygarnąć, jeszcze poszerzyć. W obliczu Boga Miłosiernego sam człowiek wybłyska płomieniem swojej niezwykłości. Jakoż przypomina nam papież Franciszek, iż nie jesteśmy czcicielami popiołów, lecz stróżami i nosicielami płomienia. Dopiero Bóg Miłosierny czyni zadość temu, czym w samym rdzeniu istota ludzka jest. Bo tylko taki Bóg pozwala jej rozkwitnąć w polifonicznym bogactwie jej istoty. Na koniec przywołajmy słowa mędrca berlińskiego Hegla, jakże znaczące w tym kontekście: „Bóg nie chce jako dzieci ludzi o ciasnych sercach i pustych głowach, lecz takich, których duch sam przez się ubogi, bogaty jest poznaniem Boga i którzy w poznaniu Boga widzą najwyższą wartość”.

KAIROS, 5(20)/2018

W niebo wstępowanie

Dość zawiła jest sprawa z niebem. Czyżby naprawdę? Azaliż nie podpowiadają nam najprostsze skojarzenia, że niebo to jakieś najszerzej pojęte dobro, rozkosz istnienia, jakaś pełnia, bezbrzeżnie rozlewająca się przychylność wszystkiego, co dla człowieka ma znaczenie najwyższe. Do takich otchłannych rozkoszy można tylko tęsknić, pozwolić porwać się pragnieniom najgłębszym, oddać się marzeniom nieposkromionym. Czyż jednak istota ludzka, w głowie której takie treści niebiańskie się snują, nie trzyma się kurczowo ziemi, nie wiąże z nią tęsknot i pragnień, nie syci się wciąż od nowa jej pięknem, nie ulega pokusom, jakimi ziemia wciąż wabi i pociąga? Gdzie tkwi źródło zamętu owego, tysiącznych nieporozumień, nieustannych skonfliktowań? Zdaje się, że u podłoża samego owych niezrozumień leży przeciwstawianie sobie ziemi i nieba. Raz każą nam ziemią gardzić jako królestwem cieni samych, złud i omamień, jako królestwem niecnego szatana, jakby ziemia owa z całym pięknem swoim, na różne niespodziane sposoby się przejawiającym, nie wyszła z zamysłu Stwórcy samego. Innym razem od rzeczywistości nieba odciągają naszą uwagę, jako fikcji czystej, rojeń bezpodstawnych, każąc uwagę całą skupić na ziemi, jako jedynej sprawie, z którą związani jesteśmy na zawsze. Świadectw z jednymi i drugimi przekonaniem powiązanych moglibyśmy przytoczyć bez liku. Czyż wyznawcom Chrystusa nie wpajano przeświadczenia, że ziemia doliną też jest tylko, pobyt na niej utrapieniem nieustannym, a zatem postawą chrześcijańską *par excellence* jest co prędzej ziemię opuścić, aby do ojczyzny prawdziwej zakochać i tam znaleźć ukojenie ostateczne. Ziemią zaś i jej ułudnymi urokami zgoła nie zajmować się wcale, bo to zdradą Boga najwyższego pachnie i uleganiem szatańskim pokuszeniom.

Zaś inni ziemię nade wszystko nam kochać każą, nie o niebie rojenia snuć, ale twardo po ziemi stąpać, wznosić mozolnie, ale z uporem ziemski raj, bo innego nie ma i nie będzie. Jakoż H. Heine wołał do współczesnych sobie stentorowym głosem:

Dziś bracia wam szczęśliwszą pieśń
Lepszą zanucić wolę
Królestwo boże chcemy wznieść
Już tu, na tym padole.

Na ziemi chcemy szczęście mieć
Głodowej strzec się męki
Niechaj nie trwoni spaśny brzuch
Plonu roboczej ręki.

Wtórował mu F. Nietzsche: „Zaklinam was bracia! Pozostańcie wierni ziemi. Nie wiercie tym, co wam o nieziemskich mówią nadziejach. Truciele to są wiedni czy nieświadomi”. I tak to przekrzykują się jedni i drudzy prorocy, co ziemią nam gardzić każą bądź czynić z niej miejsce zbawienia ostatecznego.

Czyż nie jest jednak tak, że ziemia wraz z niebem na całość ogarniającą człowieka się dopiero składają, że żyć pełnią istnienia znaczy i ziemię i niebo z powagą całą chłonąć, otwierając się na skarby niezmierzone, jakimi nas wraz darzą i obsypują. Jakoż nie poucza nas mądrze wieszcz Adam w *Dziadach* swoich:

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według bożego rozkazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu
Ten nigdy nie może być w niebie.

Dotykamy zaś ziemi poprzez ból i łzy, poprzez radość upojną i zachwyty bezgraniczny, poprzez całą paletę nastrojów, jakie się budzą, kiedy obejmujemy zmysłami wszystkimi piękno i grozę ziemi. Nie ma ucieczki od ziemi, jak też nie ma drogi innej niż do ostatecznego spełnienia, kiedy utrudzeni i syci ziemskich rozkoszy staniemy wobec bezbrzeżnej przygody nieba. Wsłuchajmy się na zakończenie w piękny tekst, który wyszedł spod pióra niemieckiego pastora D. Bonhoeffera: „Ziemia wiąże więc chrześcijanina i wtedy, gdy chce iść do Boga. Musi on poznać lęk przed prawami świata, doświadczyć osobiście ich paradoksalności, tego, że wybierać nam trzeba między złem a złem, i że Bóg również poprzez zło prowadzi człowieka do siebie. (...) Jedynie poprzez ciemne głębie ziemi, poprzez burze sumienia, dotrzeć można do perspektyw wieczności. Stary, wiele dający do myślenia mit o Anteuszu mówi o olbrzymie, najsilniejszym na świecie. Nikt nie mógł go pokonać, póki w jednej z walk przeciwnik nie podniósł go do góry. Wówczas olbrzym stracił swą siłę, bo czerpał ją z kontaktu z ziemią. Człowiek, który chciałby ziemię opuścić, chciałby uciec od trosk bieżącej chwili, traci siłę, którą czerpie z odwiecznych, tajemniczych mocy. Ziemia jest naszą matką, tak jak Bóg jest naszym Ojcem, matka zaś kładzie w ramiona Ojca tylko tego, kto jest jej wierny. Taka jest chrześcijańska pieśń nad pieśniami o ziemi i jej niedoli”. Mądry pastorze, obyśmy się czegoś nauczyli od Ciebie!

KAIROS, 6(21)/2018

Jubilata zamyślenia mało skromne

Posądzon mogę być o pychę bezmierną (zwali ją Grecy starożytni *hybris*), że narcyzm swoisty uprawiam, z okazji jubileuszu kapłańskiego (30 lat) na siebie samego uwagę kierując, atencją i rewerencją siebie samego zaszczycając. Może to tak wyglądać na rzut pierwszy oka. Zgoła o co innego idzie jednak. Dopadła mnie (jako że okazja stosowna do bilansów czynienia, podsumowań, obrachunków ze sobą samym) bezdenna zgryzota. Do tego wszystkiego jeszcze jakiś głos obcy dał o sobie znać gdzieś w głębi ducha mojego, pogrążonego w prostracji okrutnej, torturując chłodno jak sam szatan, pytania mi zadając wielce niewygodne, a tak mniej więcej brzmiące: trzydzieści już lat dźwigasz na swoich chudych barkach brzemię niełatwe kapłaństwa, i cóż znaczącego, niezwykłego dokonałeś przez ten wcale nie krótki czas? Zdjąłeś komu (choćby jednemu) ciężar życia z jego udręczonej duszy? Pocieszyłeś kogoś pociechą przynoszącą ukojenie? Dałeś nadzieję zrozpaczonemu, która pomogła mu przetrwać doświadczenie niepomiernego bólu, iść przez życie z podniesionym czołem? Wszak jedna z postaci znaczących w twojej biografii intelektualnej, profesor H. Elzenberg, przypominała ci: „Mistrzem jest ten, kto pewnej ilości swoich bliźnich pomógł wyjść z honorem z opresji życia na ziemi”. Mógłbyś siebie bez wstydlivosti, z przyłbicą otwartą mistrzem nazwać? Z Bratem Albertem choćby z oddali niezmierzonej się zestawić? A może ciebie ktoś tym mianem mógłby przywołać? I oto rozpacznie głowę pochylam, nie przypominając sobie nikogo, komu w taki sposób oparciem byłem. Zamiast tego, ów dręczący mnie, siejący zamęt w duszy strwożonej mojej, ów mroczny głos oskarża mnie o egoizm bezbrzeżny, że „myślałem tylko o sobie, gdy życie innych, okrutnie nieodwracalne krążyło wokół mnie” (Herberta cytując na dodatek), i nigdy siebie nie porzuciłem, aby jak mój Mistrz z Nazaretu, oddać siebie bezgranicznie drugiemu.

Próbuję zaprzeczać, przywoływać takie czy inne przykłady mojej kapłańskiej aktywności, na poparcie jakiejś sensowności mojej bezpożytecznej służby. Śmiech tylko słyszę szyderczy. A nawet gdy to czy owo działać ci się udało – mówi szyderca – czy nie nosiłeś głowy wysoko, jakbyś co najmniej na antypody zawędrował?

Azali książkę napisałeś niezwykłą, która wzbudziła niekłamany podziw, zachwyt? Znowu wstyd mnie ogarnia, jako że niczego takiego zdolny nie byłem poczynić.

A może mistrzem słowa byłeś, do uwodzenia ludzi stworzonym, by chwytali w lot twoje genialne myśli na mowę potoczną przełożone i ich potęgą przytłoczeni, zmieniali radykalnie swoje życie? Ależ skąd. Zaledwie coś z siebie dobyć potrafię, jękając się nieporadnie, niewiele zamętu w głowach ludzkich czyniąc, a pewnie je w znudzenie nieznośne wprawiając.

Co zatem? Nic. Pustka. Czym przeto – pyta głos – ubogaciłeś świat żyjąc zbyt długo i zbyt haniebnie pasożytując na wszystkim, co się dało?

Przyznam, że podpytywanie owo zdruzgotało jaźń moją. Nie byłem w stanie odpowiedzieć na pytania, które jak ostre strzały wbijały się w moją jubileuszową głowę.

Ale wówczas przyszedł mi z pomocą inny mój mentor, autorytet niepodważalny, poeta Z. Herbert. I on u kresu życia (ja mniemam, że jeszcze u kresu nie jestem, ale cóż możemy w tej kwestii wiedzieć), bogatego i twórczego, wypełnionego po brzegi dobrocią i ciepłem, bilansu smutnego dokonał. Wsłuchałem się, a pisał tak: „życie moje / powinno zatoczyć koło / zamknąć się jak dobrze skomponowana sonata / a teraz widzę dokładnie / na moment przed

codą / porwane akordy / źle zestawione kolory i słowa / jazgot dysonans / języki chaosu”. Tak oceniał swoje życie on, książę poetów, mistrz trafiającego w sedno słowa. Poczuję się lepiej. Zły głos zamilkł. Zostałem sam. Gdzieś w oddali (tak miemam) przemówił Bóg (jeśli nie On, to kto?) słowami Norwida, dokładniej utworu tego niezwykłego myśliciela *Modlitwa*: „Przez wszystko do mnie przemawiałeś – Panie! / Przez ciemność burzy, grom i przez świtanie (...) / I przez najśłodszy z darów Twych na ziemi, / Przez czułe oko, gdy je łza ociemi; / Przez całą dobroć Twą, w tym jednym oku (...)”. A skoro tak, to Ty Panie przemawiałeś do mnie również poprzez klęski moje, których więcej było niż zwycięstw i sukcesy (drobne i niewarte pamiętania), odbierałeś mi głos, gdy nic do powiedzenia nie miałem, dlatego składam moje trzydzieści lat w Twojej służbie w Twoje miłosierne i wyrozumiałe ręce, do Twojego serca się tuląc z zapewnieniem: Twój na zawsze.

KAIROS, 7(22)/2018

Wakacyjne podróżowanie

Odstania czas wakacji jakiś istotny rys, jakim naznaczona jest kondycja ludzka. Rzymianie zwięźle owo naznaczenie wyrazili: *navigare necesse est, vivere non est necesse*, co w luźnym tłumaczeniu oddać możemy: żeglowanie (podróżowanie, wędrowanie) jest koniecznością, życie koniecznością nie jest. Istota ludzka korzeni nie posiada, przywiązana do miejsca nie jest, nieustannie zatem w ruchu, przemieszczając się z miejsca na miejsce. Z wielkim smutkiem autor *Małego Księcia* odstania niepokój eksplodujący nieustannym ruchem, targający człowiekiem, każący mu podejmować nieustanną wędrówkę. Mały Książę zadaje napotkanemu na pustyni kwiatkowi pełne zdumienia pytanie: „Gdzie są ludzie?”. Kwiatek odpowiada: „Nikt nie wie, gdzie ich odnaleźć. Wiatr ich przerzuca z miejsca na miejsce. Są pozbawieni korzeni i na tym polega ich kłopot”. Czy brak zakorzenienia kłopotem jest, człowieczym nieszczęściem, czy też człowieka bogactwem? Czy bycie w podróży, w ruchu znojnym i nie znajdującym ukojenia, smutkiem człowieka napawa czy źródłem jest radości? Oto pytania.

Wiemy przecież, że ludzka istota pragnienia nosi w sobie nie milknące, tęsknoty sięgające w sam rdzeń jej jestestwa: bycia pełniej, bycia naprawdę, poznania i zrozumienia siebie. Każda próba, by pragnieniom tym pozwolić się porwać, wtrąca na szlak wędrowania, bo tylko w ten sposób siebie poszerzyć można, z sobą do jakiegoś cząstkowego ładu dojść. Zatem wędrowanie losem jest nieusuwalnym wpisaniem w bycie człowiekiem, zatem nie możemy spocząć, podpisując unieruchomieniem wyrok śmierci na siebie. Życie nas porywa w nieustanny taniec zmienności, otwiera przed nami coraz nowe wątki, odstania wielość nowych krajobrazów, widoków, którym trzeba oddać wzrok i dotyk i uwagę wszelką.

Pytanie jednak nasuwa się inne: czy wędrowanie, podróżowanie cel ma jakiś, czy jest tylko tańcem zmienności, gwoli samego ruchu? Znakomicie całą rzecz wyświeśla Z. Herbert, który w rozmowie z A. Michnikiem wyznaje: „Nie straciłem nigdy natury wędrownika, a wędruje się do źródeł. Płyne się zawsze do źródeł, pod prąd, z prądem płyną śmiecie. I czy się dopłynie, czy nie dopłynie, kształci to, wyrabia mięśnie”. W świetle tego wyznania człowiek jawi się jako istota skierowana ku źródłu, czyli miejscu takiemu, w którym człowiek rozpoznaje siebie w prawdzie, może siebie zobaczyć takim, jaki jest w najgłębszym rdzeniu swojej istoty. Nie jest zatem wędrowanie samym tylko ruchem, kapryśnym przenoszeniem się z miejsca na miejsce, ale wpisaniem w głębie człowieka dynamizmem stawania tym, kim się jest.

Sięgnijmy jeszcze po znakomity utwór Herberta *Podróż*. Wyjaśni nam spraw kilka, odstani logikę wędrowania.

„Jeżeli wybierasz się w podróż niech będzie to podróż długa
wędrowanie pozornie bez celu błądzenie po omacku
żebyś nie tylko oczami ale także dotykiem poznał szorstkość ziemi
i abyś całą skórą zmierzył się ze światem”.

Przychodzi na ten świat istota ludzka, od pierwszego momentu już rzucona w podróż. Nie wróci już nigdy do łona matczynego, choć raz po raz odzywa się za nim przejmująca tęsknota. (Nie powrócę do źródła spokoju – wyzna Herbert w *Testamencie*). Wyrusza na wędrowanie tylko z pozoru donikąd. Z upływem czasu uwyrażnia się mapa wędrówki, drogi i manowce. Szorstkość ziemi daje o sobie znać. Rani raz mocniej, raz delikatniej. Nieuchronne jednak

pozostaje zmierzenie się ze światem wędrówki, zderzenie się z ziemią i jej wyzwaniem, które przecież niełatwe bywają. Zmierza ku wielkiemu ukojeniu, które może być zacytnem, nowej, innej wędrówki, przygody wieczności, o której niewiele wiemy, ale tym mocniej wabi nas otchłanną tajemnicą.

Niech wakacyjne wędrówki przypominają nam o dziwnej kondycji człowieka, który nie jest po to, by osiąść w spokoju na spłachetku ziemi, ale nieustannie porywany bywa wichrami niepokoju, zdumień rozlicznych, gnany ciekawością i pytaniami niemilknącymi. Jesteśmy w drodze, droga śle ku nam znaki, które trzeba czytać, które coś mówią, dokądś odsyłają. Nie śpijmy tedy. Zabierzmy na wędrówkę zakończenie wyżej wspomnianego wiersza poety. On też przesyła nam zagadki:

„Więc jeśli będzie podróż niech będzie to podróż długa
prawdziwa podróż z której się nie wraca
powtórka świata elementarna podróż
rozmowa z żywiołami pytanie bez odpowiedzi
pakt wymuszony po walce

wielkie pojednanie”.

KAIROS, 8(23)/2018

Piękno świata – przekleństwo człowieka

Że istotę ludzką, jaka jest, jaka była, bądź jaka będzie, poddać zamierzam dogłębnej krytyce, nie jest to przedsięwzięcie zgoła odosobnione. Wielu nietuzinkowych, budzących podziw powszechny myślicieli, zniesmaczonych było tym, do czego to dwunożna, wyprostowana, nieopierzona istota zdolna być może. Do jakich działań destrukcyjnych, ohydnych, przerażenie budzących może się posunąć. Niewiele czasu w skali kosmicznej upłynęło, a obszar wielkości główki od szpilki pod nogami owej niesmak wywołującej istoty staje się ogromną cuchnącą kloaką. Pytamy zatem; czy człowiek jest naprawdę stworzenia wszelakiego koroną, czy też (za S. J. Lecem) koroną cierniową wszystkiego, co z ręki Boga wyszło. Dość na tym.

Kto z nas, przynajmniej raz w życiu nie był porwany zachwytem niewymownym, oko swoje kierując na majestat gór, bądź bezkresność morza, albo i oceanu? Kto z nas nie osłupiał zbliżając oko do szkieł mikroskopu, który odsłaniał całe skomplikowanie i prostotę zarazem mikroświata. I zachwyt, i osłupienie, i przerażenie stanami są aż nadto dobitnymi, świadczącymi o tym, że istota ludzka w głębokim związku pozostaje ze wszelką rzeczą spod ręki Boga wyszłą. Jej tragedią pozostaje to, iż o tej przynależności wielorakiej do wszechświata i związku głębokim z nim całym zapomina.

Tym większą wdzięczność winniśmy wyrazić na szczęście powszechnie znanemu z XIII w. św. Franciszkowi z Asyżu, że nas tą prawdą uderzył, obudził i zachwycił.

Oto *Pieśń słoneczna*, pochwała stworzenia, którą wyśpiewał ów bogaty w niewymierne dobra Biedaczyna, złożon będąc bolesną i śmiertelną chorobą:

Pochwalony bądź, Panie, z wszystkimi twymi twory,
Przed wszystkim z szlachetnym bratem naszym, słońcem,
Które dzień stwarza, a ty świecisz przez nie;
Pochwalony bądź, Panie, przez brata naszego księżyc,
I nasze siostry, gwiazdy;
Przez brata naszego wiatr, przez siostrę naszą wodę,
Przez brata naszego ogień.

Święty geniusz wczuł się doskonale w jedność siebie z wszelakim stworzeniem, które w jego wizji na wskroś przenikającej wszelkie wymiary istnienia, wyszło spod ręki Miłującego, Mądrego Stwórcy, a nie dziełem jest przypadkowych kombinacji ślepego i martwego chaosu.

Mało tego, czuje się Franciszek zespolony braterskimi i siostrzanymi, to znaczy bliskimi, ciepłymi powiązaniem z każdą najdrobniejszą cząstką wszechświata. Do tego stopnia, że kiedy, już zgoła ślepemu, poddawano go ohydnej procedurze kauteryzacji, tj. przypalania gałek ocznych ogniem, ten w swojej niewymownej prostocie prosił brata ogień o wyrozumiałość, cierpliwość, delikatność. Kiedy po skończonym brutalnym zabiegu wzroku nie odzyskawszy, a cierpieniem przyptaciwszy niekompetencje konowała medyka, przytomność odzyskał, oznajmił wszystkim, że bólu żadnego nie czuł i gotów jest poddać się następnej torturze.

Franciszkański zaiste zachwyt odzywa się u poety w siedem stuleci po nim entuzjazm poetyzującym, Bolesławie Leśmianie, który poezją krzyczy:

Ciało me wklęte, w korowód istnienia,
Wzruszone słońcem od stóp aż do głów,

Zna ruchy dziwne i znieruchomienia,
które zeń w śpiewie przechodzą do słów (...)
I pieśnią całe ogarniam niebiosy.
I ziemię całą widzę poprzez śpiew!

Czy chociaż uderza nas niewiarygodny stopień natężenia zachwytu otaczającym światem jaki daje o sobie znać u mistrzów genialnego słowa? Czy jesteśmy jeszcze zdolni do takiej podziękii, jaka spłynęła z ust Z. Herberta:

Panie dziękuję Ci że stworzyłeś świat piękny i bardzo różny.

A może my dwunożne nagie małpy, potrafimy zostawiać po sobie cuchnące śmietnisko puszek, folii, butelek i innych odpadów naszej nie poskromionej żarłoczności? Adagium łacińskie powiada: *ubi homo, ibi fetor* (gdzie człowiek, tam smród). Na czasy współczesne parafrazy by się domagało owo adagium: *ubi homo, ibi timor* (gdzie człowiek, tam strach). Zatem pytamy: wody to, i ognia i pozostałych żywiołów lękać się winien człowiek? I też w tym tonie stwierdza błyskotliwy T. Żychiewicz: Nie widział nikt, aby zwierzę zdemoralizowało człowieka. Widziano natomiast, jak człowiek demoralizuje zwierzęta. To człowiek uczy je nienawiści i strażnicze psy łagierne pozostaną na wieczność hańbą człowieka. To człowiek wplątuje je w swoje śmierdzące sprawy. W ton elegijno modlitewny uderza pisarz: Panie trudno czasem pojąć, dlaczego właściwie wyróżniłeś to koszmarnie, krwawe, obłudne i pełne głupiej pychy bydło: człowieka. Jedyne stworzenie naprawdę szkodliwe i groźne dla ziemi. Jeśli cuchnie dziś ziemia, to wcale nie z powodu odchodów zwierzęcych, lecz z przyczyny naszej genialnej pomysłowości i aroganckiej głupoty.

Korono cierniowa stworzenia / opamiętaj się!

KAIROS, 9(24)/2018